

IRENA I FRYDERYK JOLIOT-CURIE

PRZEBYWALI NA WAKACJACH W BRETANII, GDZIE
ODWIEDZIŁ ICH SPECJALNY KORESPONDENT
„ŚWIATA” WE FRANCJI — FRANCIS CREMIEUX.

W NUMERZE:

REPORTAŻ F. CREMIEUX P.T.
„24 GODZINY W DOMKU
POD PAIMPOLE”



MASY PRACUJĄCE POPIERAJĄ PROGRAM FRONTU NARODOWEGO

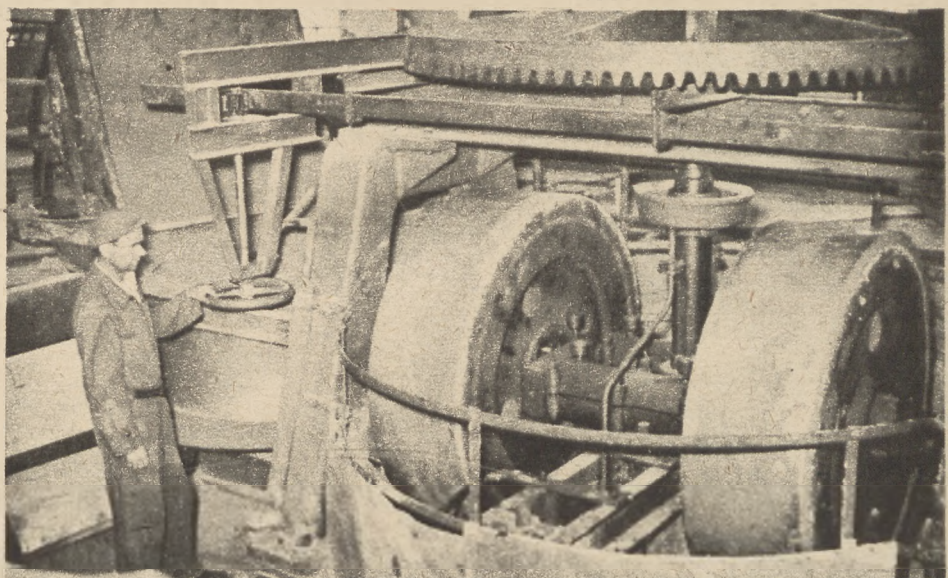


W fabryce „Ursus”, podobnie jak w innych zakładach pracy całego kraju, odbyło się manifestacyjne zebranie załogi, na którym dokonano wyboru Zakładowego Komitetu Wyborczego Frontu Narodowego. Załoga podjęła szereg nowych zobowiązań.



Załoga Zakładów im. Dymitrowa w Warszawie podjęła ostatnio wiele cennych zobowiązań zespołowych i indywidualnych dla wyrażenia pełnej solidarności z programem wyborczym Frontu Narodowego oraz dla uczczenia XIX Zjazdu WK(b).

CEGLY DLA NOWEJ HUTY



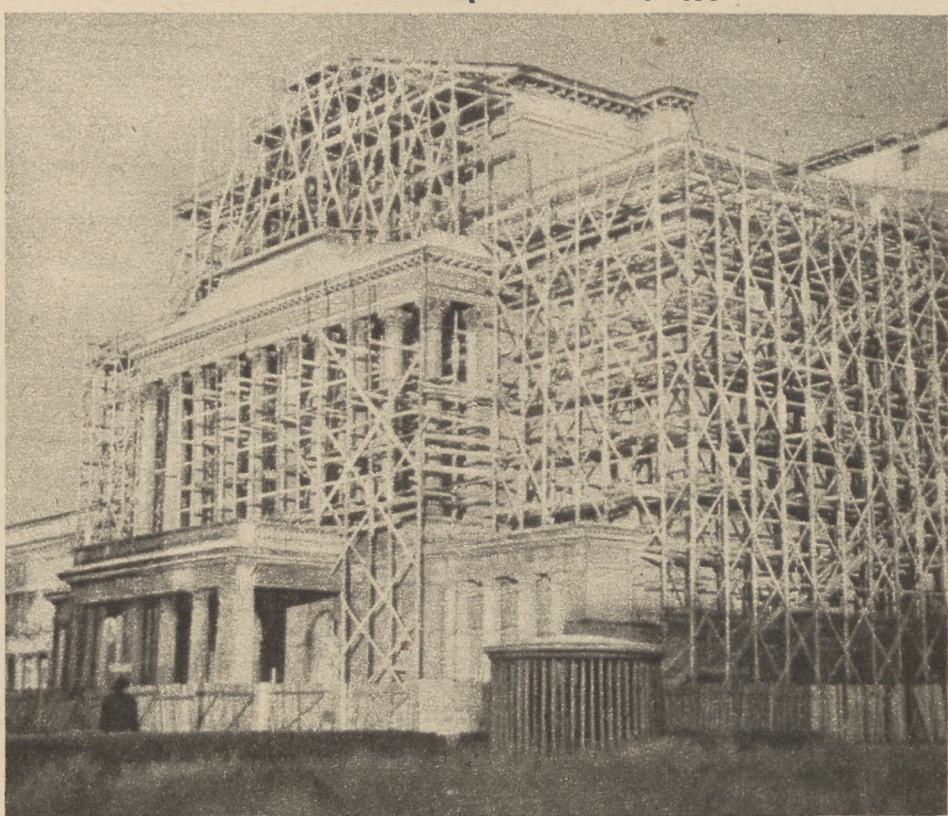
Częściowo uruchomiona nowoczesna cegielnia „Zastawice” dostarcza już poważnej ilości cegieł na budowę Nowej Huty. Przy automatycznym rozcieraczu gliny pracuje Józef Rainy, młodoletni chłop, który w cegielni nauczył się zawodu.

PRZED SIEWEM JESIENNYM



Członkowie spółdzielni produkcyjnej Nowa Wieś w woj. lubelskim przygotowują się do siewów jesiennych. Traktorzysta Stanisław Pietrzak rozpoczął orkę.

WRZESIEŃ — MIESIĄC BUDOWY STOLICY



Miesiąc Warszawy upływa pod znakiem nowych osiągnięć w odbudowie zniszczonych i budowie nowych obiektów. M. in. odbudowywany jest gmach Teatru Wielkiego.

PREZYDENT PIECK NA TARGACH LIPSKICH



Prezydent Wilhelm Pieck zwiedził ostatnio Targi Lipskie, które cieszą się wielkim zainteresowaniem w NRD i za granicą.

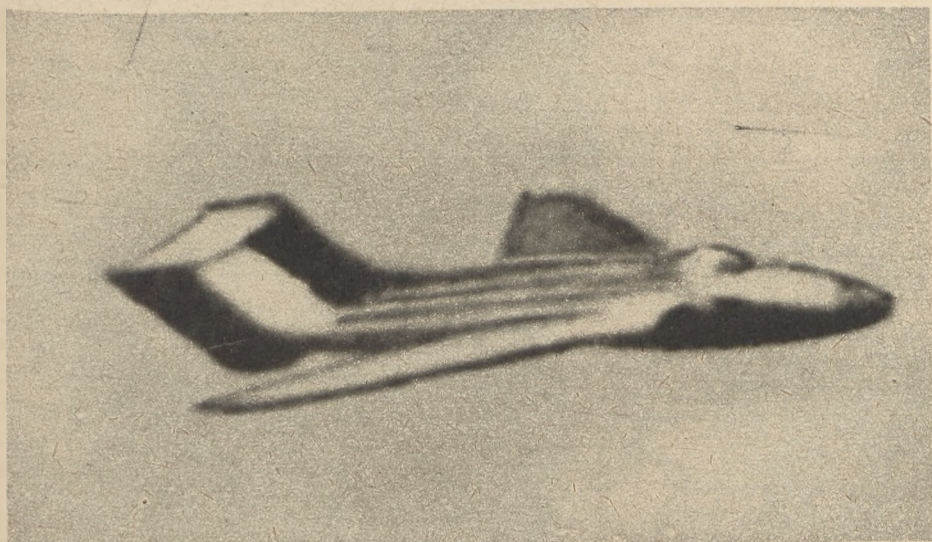
SPOŁECZEŃSTWO BELGIJSKIE PRZECIWKO WOJNIE



„Belga”

Masy pracujące Brukseli i innych miast Belgii w dalszym ciągu występują przeciw polityce zbrojeń. Pomimo licznych represji, aresztowań i ataków policji, ulicami przeciągają pochody manifestantów.

KATASTROFA BRYTYJSKIEGO ODRZUTOWCA



W miejscowości Farnborough w Anglii podczas pokazu lotniczego eksplodował w powietrzu samolot odrzutowy „De Havilland 110”. Pilot i obserwator zginęli na miejscu.



Keystone

Szczątki samolotu spadły na szczelnie wypełnione trybuny powodując śmierć 27 osób i zadając rany 70 widzom. Przyczyna katastrofy nie została wyjaśniona.

OBRADY MIĘDZYNARODOWEGO ZWIĄZKU STUDENTÓW



CAF

Do Bukaresztu przybyli przedstawiciele Rady Międzynarodowego Związku Studentów z Paolo Pescetti na czele. VI Sesja Rady MZS wniosła poważny wkład do zacieśnienia współpracy studentów w walce o pokój.

KONFERENCJA CZERWONEGO KRZYŻA W TORONTO



„Photografie”

W Toronto obradowała Konferencja Czerwonego Krzyża. Udział w niej brała delegacja polska z dr Domańską na czele.



KONGRES ZIEM ODZYSKANYCH

Ziemie Odzyskane, w ciągu minionych ośmiu lat odbudowane z wojennych zniszczeń, w następnych latach Planu Sześćdziesięcioletniego mają zapewnić dalszy, coraz świetniejszy rozwój. Nie podoba to się jednak niemieckim rewizjonistom z Trizonii, rozwijającym pod czułą opieką amerykańskich imperialistów wrogą działalność przeciw Polsce.

Celem zmanifestowania jedności narodu polskiego wobec zabórczych knowań imperializmu, Ogólnopolski Komitet Wyborczy Frontu Narodowego zwołał na niedzielę 21 bm. do Wrocławia Kongres Ziem Odzyskanych. Uczestnicy Kongresu będą wyrazicielami myśli i uczuć całego narodu polskiego, który odzyskawszy na mocy uchwał międzynarodowych prastare piastowskie ziemie, zagospodarował je i związał nierozdzielnie z macierzą. Na nic nie zdadzą się knowania imperialistów przeciw naszym granicom zachodnim i przeciw naszej niepodległości. Polska nie jest samotna. Prowadzona przez Rząd Ludowy, sprzymierzona z innymi demokracjami ludowymi, pod opieką potężnego Związku Radzieckiego spokojnie patrzy w swą przyszłość.

CAF

W IMIĘ PRAW CZŁOWIEKA

WNUCZKA TADEUSZA KOŚCIUSZKI NA CZELE PARTII „PROLETARIAT“

Napisał JOZEF KOZŁOWSKI

TAK, nieźli to ludzie. Niewielu ich, ale dzięki nim rozkwita całe życie; bez nich zostałyby zagłuszone chwastami, skwaśniałoby: mało ich — ale oni dają możliwość oddechu wszystkim ludziom, bez nich zadusiłaby się ludzkość. Ogromna jest ilość uczciwych i dobrych ludzi, lecz takich jak oni — mało. Oni w tej masie — to jak teina w herbacie; aromat w szlachetnym winie, oni dają jej siłę i woń; to kwiat ludzi najlepszych, to są motory motorów, to sól soli ziemi⁽¹⁾.

W ten sposób pisał o rewolucjonistach wielki demokrat Mikołaj Czernyszewski. Lud pracujący otacza ich miłością i szacunkiem, wrogowie ludu — zwierzęcą nawiścią. Ich imiona nie giną nigdy; wdzięczny lud święcie zachowuje pamięć o swych obrońcach, nawiązuje do ich tradycji.

Tak też przez wieki żyć będzie pamięć o bohaterskiej wnuczce Tadeusza Kościuszki, o ostatnim kierowniku partii „Proletariat“, płomiennej rewolucjonistce — Marii Bohuszewicz (1865—1887).

„CÓRA KOŚCIUSZKOWSKA“

Maria Bohuszewicz, córka Włodzimierza, urodziła się 4 stycznia 1865 r. we wsi Ceperce w pow. słuckim. W domu rodzinnym Marii panował duch kościuszkowski. Żywe były w rodzinie Bohuszewiczów wspomnienia o Tadeuszu Kościuszcze. Wielki wpływ na Marię posiadał również jej krewny, poeta Franciszek Bohuszewicz, rewolucyjny demokrat, uczestnik powstania styczniowego 1863 r. Od najmłodszych lat marzyła Maria o tym, aby pójść w ślady swego wielkiego dziada i wziąć udział w walce rewolucyjnej. Wkrótce Maria Bohuszewicz znajduje swe właściwe miejsce w szeregach klasy robotniczej i jej partii „Proletariat“, która wysoko wzniosła sztandar walki o wyzwolenie społeczne i narodowe.

Po ukończeniu szkoły średniej w Warszawie, Maria poświęca się pracy nauczycielskiej. Udziela prywatnie lekcji. W 1882 r. nawiązuje kontakty z działaczami „Proletariatu“ i z całym zapałem rzuca się w wir walki rewolucyjnej. Jej nauczycielem był Ludwik Waryński, który darzył ją nieograniczonym zaufaniem. Ludwik Krzywicki wspomina, że Waryński był częstym gościem w domu Bohuszewiczów⁽²⁾.

Działalność rewolucyjną rozpoczęła Bohuszewiczówna w „Towarzystwie Czerwonego Krzyża“, przybudowce „Proletariatu“. Dzięki nieustraszonej energii i niezwykłemu poświęceniu dla sprawy, młodzieńka, bo 19-letnia Maria staje się wkrótce jednym z działaczy partii. Pod pseudonimem „Regina“ i „Weneda“ prowadzi zakrojoną na szerszą skalę zbiórkę pieniędzy dla uwieczonych towarzyszy, akcję agitacyjną, organizuje koła rewolucyjne, zajmuje się wydawaniem druków partyjnych.

Po aresztowaniu Waryńskiego, Rechniewskiego, Kunickiego i innych kierowników partii, Bohuszewiczówna wchodzi w czerwiec 1884 r. w skład K. C. „Proletariatu“. Przez rok była ona duszą i motorem całej działalności partii. Wraz z najbliższymi towarzyszami parła — Rozalią Felsenhardt, Józefem i Julią Razułajnymi — na najcięższych dla partii okresie. Bohuszewiczówna w największym dla partii okresie. Bohuszewiczówna w największym dla partii okresie. Bohuszewiczówna w największym dla partii okresie.

Jeden z proletariatchyków wspomina:

„Sama Maria Bohuszewiczówna zajmowała się osobście propagandą wśród robotników. Można ją było widzieć wśród nich na zwoływanych zbiórkach. Raz zastałem ją w takim otoczeniu na Saskiej Kępie“.

Wiele energii poświęciła Bohuszewiczówna organizacyjnemu wzmocnieniu partii. Spod jej pióra wyszedł statut partii „Proletariat“. „Córa kościuszkowska“ — tak nazywali bowiem Bohuszewiczównę robotnicy — była, pomimo bardzo młodego wieku, pełnym chwały bohaterstwem ostatnim kierownikiem partii „Proletariat“. Dzięki jej zabiegom partia zaleczyła ciężkie rany, które jej zadało aresztowanie kierownictwa z Waryńskim na czele, wzmocniła się i znów podniosła sztandar walki.

SWOBODY, FABRYK I ZIEMI

W dniu 2 marca 1885 r. Warszawa była widownią pierwszej w Królestwie Polskim masowej demonstracji robotniczej. Organizatorem tej demonstracji była Maria Bohuszewicz, ona też szła na jej czele. Kilku set bezrobotnych udało się pod jej przewodnictwem pod Zamek Królewski, gdzie żądano od władz carskich „pracy



i chleba“. W czasie demonstracji wnoszono okrzyki rewolucyjne.

W przededniu demonstracji Bohuszewiczówna w imieniu K. C. „Proletariatu“ napisała „Odezwę do bezrobotnych“. Odezwa ta kończy się wezwaniem do walki:

„Wzywamy wszystkich naszych braci robotników w imię praw człowieka pod jeden sztandar, pod jedno hasło: „swobody, fabryk i ziemi“; wzywamy wszystkich ludzi dobrej woli do walki z jarzmem trapiącym ludzkość. I jeszcze raz:

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!⁽³⁾).

Znaczenie tej demonstracji było ogromne. Partia pokazała całemu narodowi, że pomimo terroru, duch rewolucji żyje wśród klasy robotniczej, że „Proletariat“ walczy nadal.

Działalność partii zataczała coraz szersze kręgi. Kierownicy „Proletariatu“, pozostający na wolności, nawiązują kontakt z uwięzionymi w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej towarzyszami: Waryńskim, Kunickim, Janowiczem i innymi. Bohuszewiczówna wspólnie z M. W. Woyniczem opracowuje plan ucieczki proletariatchyków z Cytadeli, który zostaje z więzienia zaaprobowany przez Waryńskiego i towarzyszy. Uwięzionym proletariatchykom przekazano narzędzia do ciecienia krat⁽⁴⁾. Planowana ucieczka z Cytadeli nie doszła jednak do skutku z powodu zdrady Pińskiego (zwanego również Piotrowskim lub Pierzyna⁽⁵⁾). Sprzedawczyk ten cieszył się niestety pełnym zaufaniem towarzyszy i wiedział wszystko, co się działo w partii. O każdym ruchu partii donosił żandarmom. „Wsypanie“ zniweczyło plan ucieczki z Cytadeli i kosztowało partię wiele ofiar. Pociągnęła ona za sobą aresztowanie pozostających jeszcze na wolności kierowników partii.

W DRODZE NA SYBIR

W nocy z dnia 29 na 30 września 1885 r. aresztowana została Maria Bohuszewiczówna. W jej mieszkaniu przy ul. Złotej 26 przeprowadzono rewizję. Znajdiono mnóstwo materiałów obciążających ją oraz innych działaczy partii.

Tak wielkiego upływu krwi „Proletariat“ nie mógł już wytrzymać. Po aresztowaniu Bohuszewiczówny i jej najbliższych współtowarzyszy, „Proletariat“ zawiesza swą działalność.

Za dwudziestoletnią „orlicą Proletariatu“ zamknęły się wrota Cytadeli. Nie danym było jej więcej znaleźć się na wolności. W murach więzienia Bohuszewiczówna trwała równie mężnie, jak w walce na wolności. Odmówiła złożenia jakichkolwiek zeznań. Milczeniem odpowiadała na maltretowania i szykany.

Władze carskie po przeszło półrocznym śledztwie postanowiły „sprawę Bohuszewiczówny i towarzyszy“ czyli tzw. „drugą sprawę Proletariatu“ rozstrzygnąć w drodze administracyjnej. W dniu 12 maja 1887 r. Bohuszewiczównie podano do wiadomości, że na mocy „ukazu“ carskiego skazana zostaje na zesłanie do miejscowości Tunki w kraju Buriatów na przeciąg lat pięciu.

3) „Walka Klas“, Genewa, 1885 nr. 10—12.

4) O próbie ucieczki z Cytadeli pisze M. W. Woynicz ps. „Doktor“ we wspomnieniach p.t. „Nieurzędywistione plany“, „Z pola walki“, Londyn, 1904.

5) Na Pińskiego dokonany został 1 lipca 1886 r. nieudany zamach. Zamachowiec — Kowalewski został schwytany i stracony.

Po odbyciu tej kary miała zostać na osiedleniu w dalekich rejonach Syberii.

Wyczerpana więzieniem, Bohuszewiczówna zmarła późną jesienią 1887 r. w więzieniu etapowym w Krasnojarsku. O ostatnich chwilach Marii Bohuszewicz wspomina M. W. Woynicz — jej współtowarzysz niedoli więziennej i zesłania.

„Wystano nas na Sybir wszystkich razem. Maria Bohuszewiczówna doszła do Krasnojarska, ale już dalej iść nie mogła: tak była słaba. Życie zamierało w niej w naszych oczach. Lubiano ją ogromnie, toteż nikt nie chciał się z nią rozstać. Po drodze na Sybir pisała pamiętnik, który potem krążył w odpisach. Doprowadziła go aż do chwili wstąpienia do czynnych szeregów partii. Streściła w nim całą ewolucję przekonaniową... Była gorącą patriotką — z jednej strony dzięki tradycjom rodzinnym (pochodziła w prostej linii z rodziny Kościuszek), a z drugiej strony pod wpływem jednego ze swych krewnych“ („Z pola walki“, Londyn 1904).

Maria Bohuszewiczówna, wnuczka Tadeusza Kościuszki, ostatni kierownik partii „Proletariat“, zajmuje czołowe miejsce w historii polskiego ruchu rewolucyjnego, jako wzór poświęcenia i oddania sprawie wyzwolenia ludu pracującego.

* * *

O tym, jak niepowetowaną stratę poniosła ze zgonem Marii Bohuszewicz polska klasa robotnicza, świadczy wymownie wiersz pt. „Pamięci Marii Bohuszewicz“, napisany przez jednego z socjalistów polskich na zesłaniu w 1888 roku. Wiersz ten publikowany jest obecnie po raz pierwszy.

PAMIĘCI MARII BOHUSZEWICZ

Jasna, szczerza, przejrzysta
Duszą niepokalana, postępkami czysta,
Świetlana, jak młodości dziewicze marzenie
Tyś skupiła w swem sercu wszystkie nasze cnoty,
Jak kryształ, co rozsiane w powietrzu promienie
Zbiera w punkt jeden drobny, ale palący i złoty. —
Nie ma Ciebie... umarłaś!... Znikłaś i nie wrócisz!...
Ty nasza przodowniczko, orlico Ty nasza!...
Już okrzykiem bojowym męstwa nie ocucisz
Wiodąc nas kruszyć pęta swobód pordzawione
Na szranki, co tylekroć krwią naszą zroszone,
A skąd z czasem wyleci dumny i swobodny
Duch synów naszych w obszar już bardziej pogodny...
Nie masz Ciebie! Któż w walce gdy ramię omdleje
W duszy naszej osłabłej, rozpaczą nękaną,
Poranionej cierpieniem śmiercią obłąkaną
Znów wiary i nadziei nasiona posieje?!
Któż nauczy przetrwać w milczeniu, gdy czasza
Gorzkim jadem potwarzy po brzegi nalana
Zostanie nam z kolei przez bliźnich podana?...
Wszak nie ma Cię już nie ma, kapłanko Ty nasza!...
O córo Kościuszkowska! Na ziemi wygnania
Rychło zwiędłaś owiana tęsknicy podmuchem
Zgrzyt rygli i brzęk kajdan zamiast pożegnania
Rodziny i przyjaciół grały ci nad uchem,
Gdy oczy mgiły śmiercią, gdy serce konało,
To serce, co tak wiele i szczerze kochało. —

Na jej cichej nieznanej, maluczkiej mogile
My bracie postawmy nagrobek wieczysty,
Zburzym władców pałace, ich twierdze i turmy
I z gruzów usypimy wzgórek opoczysty,
Na którym umieścimy strzelistą kolumnę,
Ulaną ze szczątków koron i beret królewskich
I z resztek przywilei ziemskich i niebieskich
Szczyt misternie urobim ze srebra i złota,
Mocą których bogacze ujarzmili ludy...
I... aby więcej blasku miała ta robota,
Omyjmy ją łzami cierpiących milionów,
A na szczycie zatknijmy naszą postrzępioną
Pocerniałą wśród bitew chorągiew czerwoną.

(1888 r.)

1) Mikołaj Czernyszewski: „Co robić“ str. 51.
2) Ludwik Krzywicki „Wspomnienia“ t. I.

O POLSCE ZACHODNIEJ

EDMUND J. OŚMAŃCZYK

NA początku sierpnia 1952 roku nadarzyła mi się sposobność przejechania samochodem z górą czterech tysięcy kilometrów po Polsce zachodniej.

W ciągu 13 dni miałem możność zwiedzenia głównych budowli Planu 6-letniego w Polsce zachodniej, obejrzenia większości miast i miasteczek, odwiedzenia szeregu Państwowych Gospodarstw Rolnych i Spółdzielni Produkcyjnych oraz wielu wiosek i osad nad Nysą Łużycką i Kłodzką, nad Wartą i Odrą, nad Zalewem Szczecińskim i nad Bałtykiem. Niezliczona ilość rozmów z ludźmi różnych zawodów i stanowisk wraz z niezliczoną ilością wrażeń wypełniły mi grubą teczkę notatek, którym mógłbym śmiało dać tytuł:

„Wywiad błyskawiczny z Polską zachodnią“.

O tym wszystkim, o czym się dowiedziałem z błyskawicznego wywiadu, pragnę teraz złożyć sprawozdanie, choć uprzedzam, że będzie ono nieco rozwichrzone, a dlaczego, wyjaśnię w toku opowiadania.

Rozpocznę od przypadkowej rozmowy z chłopem, którego spotkałem gdzieś koło Środy Śląskiej, w drodze na Brzeg Dolny, jak spędzał z szosy łaciastą krowę, która odbiegła od stada pasącego się na przydrożnym wygonie. Chłop, lat około czterdziestu pięciu, zwrócił moją uwagę wypowiadając żołnierską rogatywkę, której daszek prawie dotykał krzaczastych brwi.

— Z Pierwszej, czy z Drugiej Armii? — spytałem.

— Z września! — padła nieoczekiwana odpowiedź.

Jednocześnie wyciągnęliśmy papierosy, obaj mieliśmy — widać — chęć na pogawędkę. Pstryknęła zapalniczka — „wiatrówka“ — zrobiona z gilzy cekaemu.

— To moja robota — przyjaźnie wyjaśniał chłop. — Jeszcze z niewoli...

Cmiał papierosy, rozgadaliśmy się o tym i o owym, aż nie wiedzieć kiedy poznałem całą historię życia dolnośląskiego chłopca. Urodził się w Kielecczyźnie, nad Czarną Nidą — „albo nad Czarną Nędzą, jak ludzie u nas mówili“. W podziale ojcowskiej biedy dostał dwie morgi piaszczystego gruntu, kozę i jedną izbę w słomą krytej chacie i tak został „gospodarzem“. Ożenił się młodo, ale że wyżywić dzieci nie był w stanie, chodził co roku „na Saksy“ na robotę u „Bauerów“ albo junkrów w Nadodrze. W 1939 roku tylko nie poszedł — „czuło się wojnę“ — ale jak go w lipcu wzięli „na manewry“, to już we wrześniu był w niewoli, a w dwa miesiące później znów parobkował u „Bauera“, tym razem tu właśnie, koło Śląskiej Środy.

„Bauer“ miał 90 ha dobrej ziemi i kawałek lasu, był głównym hitlerowcem we wsi i „z początku ostry był bardzo i krzychał o byle co, zupełnie jak w naszym dawnym wojsku...“ Uciszył się dopiero po Stalingradzie, a wkrótce zrobił się taki grzeczniutki dla trzech jeńców Polaków, którzy u niego pracowali, że „ślina w gębę sama się zbierała, by można było spluć...“.

W początku marca 1945 roku na krótko przed radziecką ofensywą „Bauer“ zabrał co mógł z dobytku i odjechał na zachód. „Przedtem prosił, byśmy się zostali i dobrze pilnowali jego gospodarstwa, bo to wiano dla jego jedynego dziecka, piegowatej Hildy, która właśnie za mąż iść miała za „Kreisbauernfuhrera“. Jak wróć — mówił — z Amerykanami, to was wynagrodzę za wszystko...“.

Pod daszkiem rogatywki uniosły się w górę krzaczaste brwi, duże niebieskie oczy zaskrzyły się uśmiechem, za to usta z udaną powagą wypowiadały następne słowa:

— No to zostaliśmy!

W kilka dni później przyszli radzieccy żołnierze, a za nimi polska władza ludowa. I jedni, i drudzy mówili tak samo jak „Bauer“:

— Zostańcie!

Ale dodawali zaraz coś, czego tamten nie mówił:

— To wasza ziemia. Trzeba ją obsiać.

Sierpniowa podróż • Błyskawiczny wywiad • Spotkanie z wrześniowym żołnierzem • Nawrót do minionego czasu • Tęgo ziemia, kto orze • Prostuje się, kto rozumie prawdę naszych dni • Ziarno siewne z dalekich stron • Pierwsza odpowiedź

Wkrótce „narod zaczął tu ciągnąć ze wszystkich stron“, a „najwięcej znad Czarnej Nidy...“

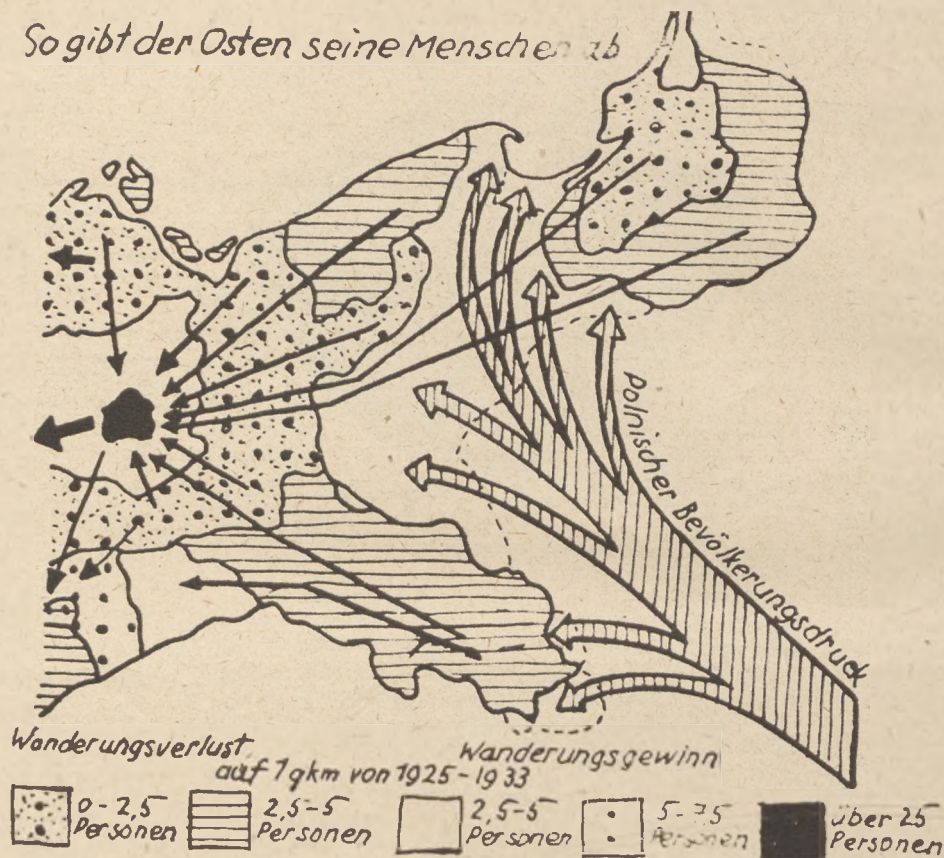
W ostatnim stwierdzeniu było bardzo wiele przesady, choć pomieszaną z częsteczką prawdy. Do wsi tej właśnie rzeczywiście zjechali się głównie bez-

Przesunął wrześniową rogatywkę na tył głowy, zawiadając „z pańska“.

Roześmieliśmy się jednocześnie obaj, i przyjaźnie na pożegnanie podaliśmy sobie dłonie.

Najchętniej uściskałbym go z całego serca. Ani wiedział, jak mnie wzruszył.

So gibt der Osten seine Menschen ab



W końcu ubiegłego stulecia występowało zjawisko ucieczki ludności niemieckiej z Nadodrze i Prus Wschodnich na zachód. Uczni pruscy publikowali mapki ilustrujące to niepomysłne zjawisko.

rolni i małorolnych chłopów z Kielecczyzny, krewniacy i znajomkowie mojego rozmówcy, który agitował nad Czarną Nidą kogo tylko mógł.

— Nasamprzód przyjechała moja żona z dziećmi i szwagier. Też z liczną rodziną...

— A ile macie dzieci?

— Do wojny czworo, po wojnie troje, to razem będzie siedmioro...

— Wszyscy w domu?

— Gdzie tam! Najstarszy syn w Gdańsku, na Politechnice. Młodszy, który jest w marynarce, statki ma budować... Najstarsza córka jest we Wrocławiu. Przędownica. W „Gazecie Robotniczej“ pisali o niej. A jakże. Niedawno, jak o Konstytucję szło. Na Złocie w Warszawie też była... Ona i chłopak, który jest w Liceum Rolniczym w Wołowie... Przędownia nauki. Ma być agromomem u nas w spółdzielni...

Znów zaskrzyły się duże niebieskie oczy, tym razem ojcowską radością i dumą. Pacnął dłonią w wiśniową fajeczkę, zadeptał tlejącą resztkę papierosa, rozejrzał się dumnie i wyprostował jakby na pokaz, jakby na podziw całego świata.

— Starzeję się — mruknął — lubię o własnym życiu opowiadać. Ale jest też co...

Mimo tych wstydliwie wymruczanych słów, pozy nie zmienił. Stał wyprostowany z zadartą do góry głową i gospodarskim spojrzeniem wskazywał na stado krow, pasących się na wygonie, na falujące zbożem pola, na których trąkotał kombajn, na granatową linię lasu.

— To wszystko wasze? — spytałem.

W lot schwycił myśl.

— Jak spółdzielcze to moje: 642 ha ziemi ornej, 27 mórg pastwisk, 44 krowy, 17 koni, traktor, kombajn...

Nie tą swoją serdeczną gadaniną — setki tysięcy ludzi spotkać można dziś w Polsce zachodniej, którzy podobnie opowiadają swe życie — lecz właśnie tym końcowym wyprostowaniem się, dumnym obwieszczeniem godności wolnego wreszcie człowieka.

Oto stał przede mną, na mej rodzinnej śląskiej ziemi, nieznan mi żołnierz wrześniowej klęski, odmieniony całkowicie, taki, jakim go chciałbym ujrzeć w naiwnym poetyckim marzeniu przed laty trzynastu.

Zaraz wszystko wytłumaczę.

Przed wojną, jako Polak urodzony w państwie pruskim, na Śląsku Dolnym, żyłem w Rzeszy i pisywałem patriotyczne wiersze, mówiące o polskości Nadodrze, wzywające do wytrwania na ziemi ojców Polaków-autochtonów, którzy tyle wieków walczyli z germanizacją w Nadodrze i Prusach Wschodnich...

Historia tej walki czeka na swych historyków w Polsce Ludowej. Walka była straszliwie ciężka, z każdym dziesiątkiem lat coraz trudniejsza, niemniej trwała aż po kres Hitlera, mimo że pierwszymi Polakami, którzy wędrowali do obozów koncentracyjnych, byli Polacy z Nadodrze, z Warmii i Mazurów.

W najgorszych latach hitlerowskiego ucisku słowo polskie rozbrzmiewało nadal nad Odrą, mimo terroru, mimo najpodlejszych metod wynaradawiania.

I we mnie — jak u wielu z nas Polaków-autochtonów — więcej było ślepej wiary w zwycięstwo naszego trwania przy polskości, niż jasnej myśli politycznej, w jaki to sposób powróciły będziemy mogli po wiekach niewoli do Macierzy.

Jeden bardzo mocny argument polityczny co prawda mieliśmy, ale przy realistycznej ocenie i on kulał boleśnie.

W Rzeszy od lat siedemdziesiątych zeszłego stulecia występowało coraz silniej zjawisko dla pruskiego „Drang nach Osten“ katastroficzne — ucieczka Niemców z Nadodrze i Prus Wschodnich. Uczni pruscy bili na alarm, rządy Prus i Rzeszy stworzyły specjalny fundusz pomocy dla kolonistów niemieckich, tak zwaną „Osthilfe“, niemniej ludność wschodnich terenów Rzeszy zmniejszała się nadal i w roku 1939 wszystkie województwa Polski, graniczące z Rzeszą, miały liczbę ludności na 1 km² o wiele wyższą, niż ziemie wschodniopruskie czy nadodrzańskie.

W pracy p.t. „Die Landflucht in Ostpommern“, wydanej w roku 1938, uczony pruski Gustaw Ringel pisał otwarcie, że „z nieubłaganą konsekwencją muszą kiedyś ludzie sąsiednich przeludnionych obszarów zalać tę „próżnię“, jeśli nie uda się ustawić żywego muru przeciw ich ekspansji“.

W Uniwersytecie Berlińskim w tym samym czasie oglądać było można ogromny afisz, który wzywał studentów do pomocy rolnej „na niemieckim wschodzie“. Afisz przedstawiał szlaban graniczny polsko - niemiecki, który pękał pod naporem polskiego chłopca, wiodącego za sobą gromadę dzieci. Po stronie niemieckiej pruska rodzina z jednym dzieckiem uciekała ze wsi w stronę miasta.

Podobnych wypowiedzi i plakatów, statystycznych wykresów i odezw było bardzo wiele. Wszystko to było wodą na młyn naszych nadziei. Wiedzieliśmy, że również Hitler nie jest w stanie wstrzymać ucieczki Niemców z Nadodrze. Odwrót uzasadniony był gospodarczą strukturą Rzeszy. Ciężar główny potencjału gospodarczego Niemiec od lat siedemdziesiątych przeniósł się do Niemiec zachodnich i środkowych. Tam potrzebowano ludzi do przemysłu i handlu i tam ciągnęli ludzie z całej Rzeszy, a przede wszystkim z tych ziem, które odcięte od naturalnego polskiego zaplecza wegetowały jako „spichlerz zbożowy Rzeszy“. Znikome uprzemysłowienie Prus Wschodnich, Pomorza Koszalińskiego i Szczecińskiego, Ziemi Lubuskiej i Legnickiej nie dawało ujścia dla energii miejscowej ludności. Port szczeciński był trzeciorzędny portem Rzeszy, a kopalnie i przemysł śląski w bilansie ogólnoniemieckim nie stanowiły decydującej pozycji.

Zaniedbane gospodarczo, bez żadnych szans rozwoju ziemie nadodrzańskie były jednocześnie ostoją resztek pruskiego feudalizmu. Wielcy obszarnicy, pruscy junkrowie i liczne garnizony wojsk wyciskały swe piętno na społecznej strukturze tych ziem. Stąd wywodzili się ci wszyscy generałowie i urzędnicy pruscy, którzy tak wiernie służyli Wilhelmowi, następnie Hindenburgowi, a wreszcie Hitlerowi. Ciężki, bezduszny pruski styl życia ciążył nad ziemią i ludźmi. Nic więc dziwnego, że wielu Niemców wolało się przenieść do miast Zagłębia Ruhry czy Berlina, niż być całe życie poddanymi pruskiego junkra. To samo czyniła biedota wiejska, małoroln i bezroln, którym zbyt ciężka zależność od bogaczy wiejskich, wzorujących się w obyczajach na junkierskiej tradycji.

To, i brak jakichkolwiek perspektyw rozwoju dla ziem nad Odrą i Bałtykiem powodowały, że ludzie czuli się tu psychicznie źle, obywatelami drugiej kategorii. Co energiczniejsze więc jednostki uciekały na zachód, tam gdzie miały teoretyczną co najmniej możliwość wybiecia się, zrobienia kariery, dorobienia się majątku. Było to tak powszechne, że rząd pruski miał trudności w obsadzaniu stanowisk urzędniczych i nauczycielskich w Nadodrze i w Prusach Wschodnich. W pragmatyce urzędniczej państwa pruskiego wprowadzono więc paragraf, że nikt nie może być wbrew swej woli urzędnikiem czy nauczycielem na ziemiach na wschód od Odry dłużej niż lat pięć, chyba że... karnie zostanie tam przeniesiony.

To wszystko wiedzieliśmy. Dobrze i yła nam znana słabość prusactwa na naszych ziemiach. I dobrze wiedzieliśmy, jakie możliwości rozwoju miałyby te ziemie, gdyby powróciły do Polski. Alarmująca Prusaków siła naturalnego

parcia narodu polskiego do swej piastowskiej kolebki cieszyła nas, ale jednocześnie i dręczyła niepokojem. Bo czyż naprawdę była to siła? Biologicznie rzecz biorąc, zapewne tak. Natomiast gospodarczo, kulturalnie, politycznie?

Rozpacziwa bezsiła.

Od dzieciństwa znałem ją dobrze przez coroczne przeglądy polskiej bezsiły na mej rodzinnej, nadodrzańskiej ziemi.

Z Polski ciągnęły co roku setki tysięcy robotników rolnych „na Saksy”. Wyglądzeni przednówkową nędzą, otepiali na wszystko, często nie umiejący ani czytać, ani pisać, szli zamieniać polską pańszczyznę na pruską. Junkrzy i bogaci „bauerzy” nie kłopotali się zbytnio ucieczką własnych parobków na zachód. Junkiersko - burżuazyjny rząd pruski co roku zawierał umowę z ziemiańsko-burżuazyjnym rządem polskim na dostarczenie tylu a tylu setek tysięcy parobków do obrabiania ziemi nad Odrą i Bałtykiem. A jeśli zdarzyło się, że liczba umową objęta była dla pruskich panów nie wystarczająca, to już nawet nie fatygowano rządu polskiego, lecz po prostu, tak jak za Fryderyka II, tak samo za Hindenburga czy Hitlera, agenci pruscy sami werbowali biedotę polską po wsiach pogranicznych powiatów i sami przeprowadzali dziesiątki tysięcy ludzi przez zieloną granicę do weimarskiego czy hitlerowskiego Reichu.

„Zbożowy spichlerz Rzeszy” pęczniał trudem polskiego robotnika rolnego, który według oficjalnych statystyk był „najtańszą siłą roboczą w Niemczech”.

Tak było przed I wojną światową, tak było w latach dwudziestych i nie inaczej było w latach, gdy Hitler gotował się do uderzenia na Polskę. Nawet wiosną 1939 roku nie odmówiono Hitlerowi „najtańszej siły roboczej”.

Nie łatwo było patrzeć na to nam, Polakom, żyjącym od stuleci nadzieją na powrót do Polski silnej i sprawiedliwej, nam, Polakom, znającym aż nadto dobrze politykę pruskich panów.

A tu co? Można było tylko pięści zaciskać w bezsilnej wściekłości i wierzyć, mocno wierzyć, że nadejdzie dzień, kiedy ręce polskiej biedoty nie będą się zapracowywać dla pruskich panów na jeszcze większą polską biedę.

O, diabelnie boli nawet wspomnienie tamtych bezsilnych dni. Ale skoro już zacząłem, to opowiem do końca.

Otóż latem 1939 roku w Opolu nad Odrą wraz z kilkoma przyjaciółmi, tak samo młokosami jak wówczas ja, urządziliśmy, że zredagujemy broszurę dla polskiego żołnierza, broszurę, w której zestawimy niemieckie wypowiedzi o wyludnianiu się Nadodrza. Mnie, jako poecie, wypadło napisać programowy wiersz, który miał zamykać agitacyjną broszurę. Napisałem. Ale następnego dnia trzeba było uciekać, zaczynały się już aresztowania.

Przez zieloną granicę z wierszem dla żołnierzy przedostałem się do Polski i serce zabiło mi niespokojnie. Za sobą miałem kraj, w którym nad granicą od wielu miesięcy stały wszędzie zasieki, w budynkach szkolnych kwatrowało wojsko, lasy i zagajniki rozbrzmiewały warkotem czołgów. Hitler nie ukrywał swych agresywnych planów. Przed sobą miałem kraj, w którym trudno było dostrzec jakieś większe wojskowe operacje obronne. Pierwsze zobaczyłem dopiero w Warszawie: sierpniowe kopanie rowów przeciwnocnych i klejenie paszków papieru na szyby.

Z naiwnością politycznego ślepcy pierwszego zaraz dnia poszedłem do wydawnictwa wojskowego, gdzie przyjęło mnie dwóch panów, w mundurach majora i porucznika.

— Zbliża się wojna — powiedziałem. — My, Polacy w Nadodrzu, liczymy, że wojna ta po rozgromieniu Hitlera przyniesie nam wolność, a milionom bezrolnych Polaków da ziemię. Ważne jest, aby żołnierz polski bronił Ojczyzny wiedział, że bije się jednocześnie o wolność swych braci i o ziemię piastowską dla siebie. Z Opola przywożem więc wam wiersz, który chciałbym, aby poprzez was trafił do każdego polskiego żołnierza.

Major wydał pobłażliwie wargi, porucznik bąknął ironicznie:

— Wy wierzyście tam w wojnę. Słabe macie nerwy.

— Nie będzie wojny! — przytwardził major. — Ale niech pan pokaże ten utwór.

Podając kartkę maszynopisu. Woj-skowi pochylili głowy, czytali:

Duszo nam po chałupach, bo dzie-
ciaków dużo.
Nawarstwiła się krzywdą, jak chmu-
ry przed burzą.
Nie ma ziemi dla chłopów i nie ma co
zwlekać,
Na zachodzie jest ziemia, z której
chłop ucieka.
Na zachodzie jest ziemia!

Tam rola u bezrolnych. Tu rodni bez
roli.
Tam im ziemia ciężarem. Tu brak w
trzewiach boli.
Dość chodźlim na Saksy! Na orkę bez
sławy!
Tę ziemię kto orze! Kogo nędza dła-
wi!
Na zachodzie jest ziemia!

Dość spłynęło nam potu w ziemię on-
gi własną!
Sprawiedliwość przyjąć musi, choćby
piorun trzasnął!
Garście silne do pluga! Przyszła na nas
pora.
Odebrać co nasze i Polsce przyorać!
Na zachodzie jest ziemia!

Z min czytających nie wróżyłem sobie nic dobrego. Przekonał mnie też o tym ostry głos majora:

— Pan kpi chyba! Rewolucję chce pan w wojsku robić? I my, my mamy uczyć żołnierzy pańskich demagogicznych hasel „tego ziemia kto orze, kogo nędza dławi”? Nie! Pan żartuje...

Wieczorem w mieszkaniu przyjaciela, który miał maszynę do pisania, zrobiłem ileś tam kopii wiersza, na kopertach wypisałem adresy głównych dzienników i tygodników i wysłałem pocztą.

Czekałem potem na wydrukowanie pięć lat i siedem z górą miesięcy. Do marcowych dni 1945 roku, dni wyzwolenia i powrotu Opolszczyzny do Macierzy, dni zwycięskiego marszu żołnierzy radzieckich w Nadodrzu, a z nimi żołnierzy I Armii, wyzwalających Kołobrzeg i Szczecin, i żołnierzy II Armii, wyzwalających ziemię nad Łużycą Ny-są.

Rozumiecie teraz, dlaczego z takim wzruszeniem ścisnąłem dłoń kieleckiego małorolnego chłopca w wrześniowej rogatywce, odmienionej powrotem ziem nadodrzańskich do Polski. To on, jeden z milionów tych, do których biegły myśli i nadzieje nasze. Polaków-autochtonów przed laty trzynastu. Marzyliśmy o ludzie polskim, który przyjdzie do nas nie na parobkowanie u pruskich junkrów, lecz na gospodarzenie na swoim, na starej umiłowanej przez nas piastowskiej ziemi.

I to się stało rzeczywistością.

Trudno o ogromniejszą przemianę.

Nie dziwicie się więc, że raz po raz, jak ów chłop spod Srody Śląskiej, schylałem się do wspomnień, aby móc się potem tym radośnie wyprostować.

W przenośni to wyprostowanie oznacza zrozumienie: zrozumienie głębokich historycznych prawd, które tłumaczą nam rewolucyjną odmianę polskiego bytu.

A prawda pierwsza brzmi:

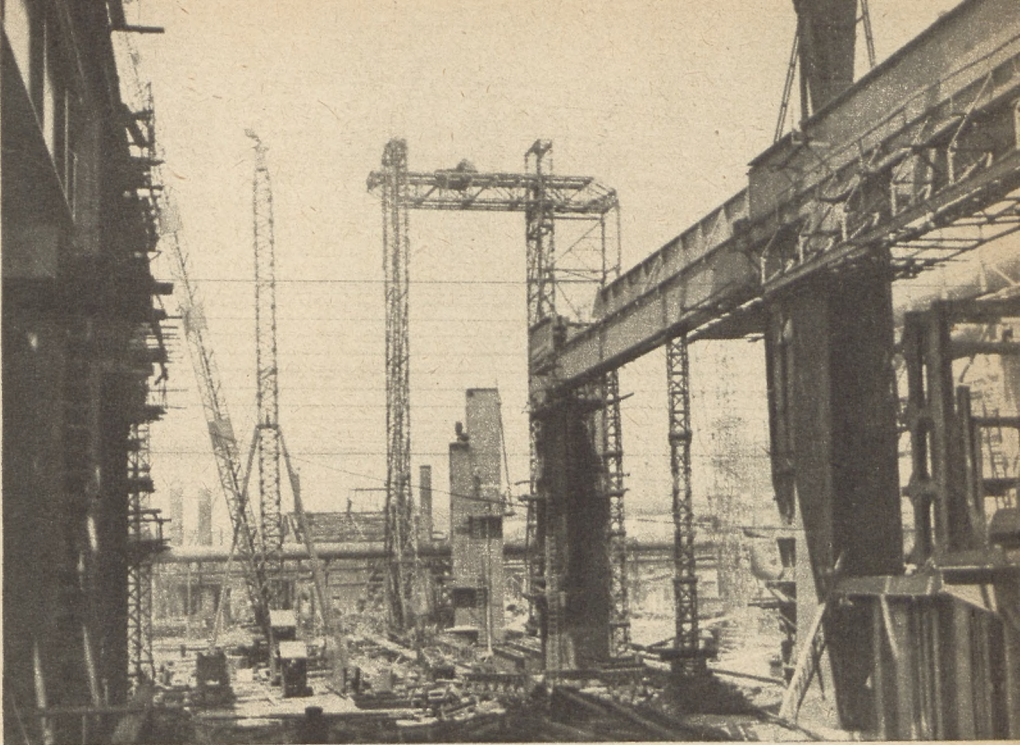
Nie mógł być wolny lud polski ani nad Bugiem, ani nad Wisłą, ani nad Odrą, póki władzę nad ludem polskim sprawowali panowie, obojętnie — polscy czy pruscy junkrzy, obojętnie — polscy czy amerykańscy, niemieccy czy francuscy bankierzy i fabrykanci. Początkiem wolności każdego narodu jest władza ludu. Od daty jej powstania rozpoczyna się historia wolnej wreszcie ojczyzny całego narodu.

I u nas nie mogło być inaczej.

A prawda druga brzmi:

Wolność wywalczona przez lud niesie wolność innym ludom. Ludowe siły zbrojne pierwszego wolnego kraju w świecie, Kraju Rad, wyzwoliły ziemię polską, a z kolei ludzie radzieccy przyszli nam z pomocą w odbudowywaniu zniszczonego kraju, w umacnianiu naszych granic, w budowaniu socjalistycznego państwa.

Kto nie rozumie żelaznej logiki tych dwóch historycznych prawd, ten nie pojmie nigdy, „jakim cudem” byliśmy w stanie oprzeć nasze państwo o Odrę i Nysę Łużycką, zaludnić i zagospodarować ziemię Polski zachodniej, zmieścić granicę polską - niemiecką w granicę pokoju i realizować Plan 6-letni.



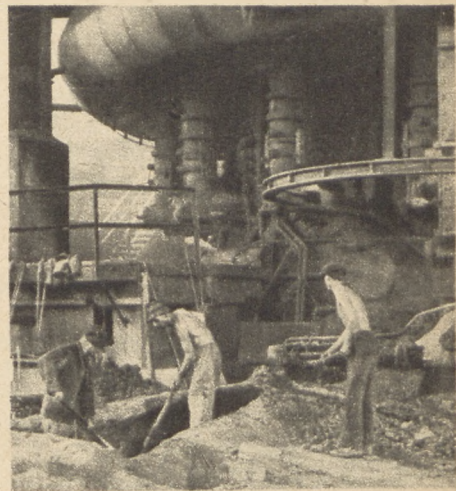
Pracę ku niebu elementy potężnych konstrukcji stalowych — to w hucie im. Molotowa w Trzynie, w jednej z największych hut czechosłowackich, powstaje trzecia stalownia. Podobnie jak i my, ludowa Czechosłowacja rozbudowuje planowo swą gospodarkę, zwracając w pierwszym rzędzie uwagę na przemysł ciężki.

W TRZYNIECKIEJ HUCIE

Zdjęcia: CZECHOSŁ. OŚRODEK INFORMACYJNY

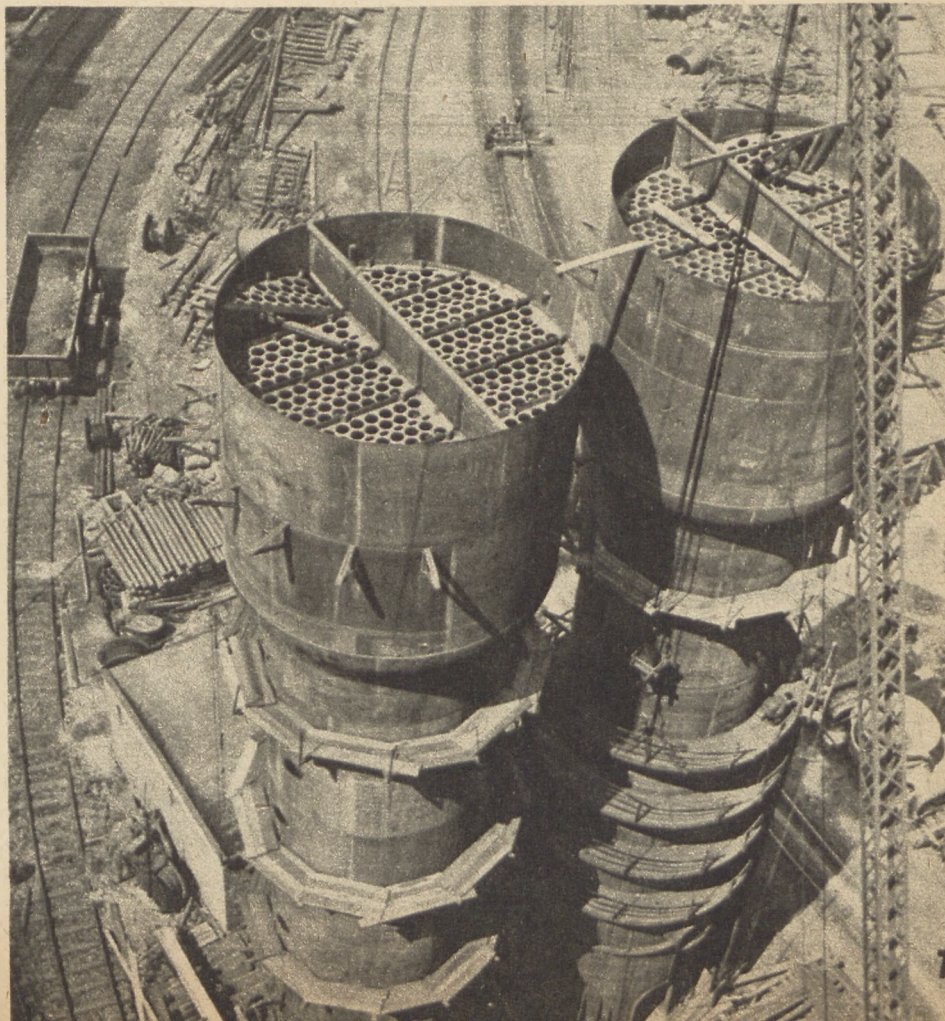


W kabine aparatur pomiarowych wielkiego pieca im. 1 Maja. Z tablic i wykresów można odczytać przebieg wytopu.



Pierwszy wytapiacz Karol Chybidziura (w środku) wraz ze swym pomocnikiem przygotowuje łożysko do spustu surowki

Budowa wielkiego pieca im. 1 Maja w trzynieckiej hucie. Najpotężniejsze urządzenia montuje się na ziemi, a następnie gotowe transportuje specjalnym dźwigiem.





MARCIN KLOSKA: 101 LAT PRACOWITEGO, GÓRNICZEGO ŻYCIA.

100 I JEDEN ROK

Napisał LUCJAN WOLANOWSKI — Zdjęcia: Z. MAŁEK

MARCIN KLOSKA: „ŻYCIE NA ŁYCZKU”

„Zimą nocuje reszta tych ptaków wędrownych, która nie powróciła do swych stron rodzinnych po ukończonym sezonie letnim, w rozkopach hut cynkowych, na dymiących hałdach szlaki, po piecach wapiennych i palących się miejscach kopalń, wszędzie, gdzie znajduje się ciepłe miejsce, i dziesięć razy przebieżana, dziesięć razy znowu się wkra-

URODZIŁ się 14 października 1851 roku, to znaczy że w tych dniach kończy 101 lat, to znaczy, że jest jednym z najstarszych wyborców w Polsce.

101 lat — to trudno nawet ogarnąć myślą, trudno pojąć, że ten starzec siedzący przed nami, kroczy przez 101 lat w pochodzie czasu, przybывая z epoki zarania wielkiego przemysłu kapitalistycznego na swym rodzinnym Górnym Śląsku prosto w trzeci rok 6-letniego Planu Budowy Podstaw Socjalizmu w Polsce. Doprawdy, trzeba tu powiedzieć pełną nazwę naszego Planu, aby sobie uzmysłowić ten dystans lat, tę niewiarygodną ale prawdziwą przeszłość przybysza sprzed wieku.

Staruszkowi trudno jest już mówić — jakkolwiek zachował pełną trzeźwość umysłu. Mówią za niego zachowane dokumenty, mówią ludzie z którymi jeszcze przed dwoma laty swobodnie rozmawiał; 101 lat zwyczajnego życia — w opowieści tej nie ma wspaniałych przygód — a ilustracją muzyczną jest tylko syrena kopalni, która przez 36 lat wzywała górnika Marcina Kloskę do pracy.

Urodził się w Janowie Śląskim — gdzie mieszka po dziś dzień — jako syn kowala kopalnianego. Nie chodził do żadnej szkoły. Jego edukacja życiowa zaczęła się gdy miał 12 lat (czyli podczas powstania styczniowego 1863 roku!), kiedy poszedł na służbę do wielkiego majątku w gminie Urbanowice w powiecie pszczyńskim. Za samo tylko wyżywienie pracował tam od świtu do nocy. Gdy nie mógł nadażyć z robotą — biło go tak strasznie, że w roku następ-

da. Chociaż czasami niektórzy uduszają się lub spalą, nie powstrzymuje to reszty od powrotu do tego samego noclegu” (z urzędowego raportu asesora rządowego Solgera o stosunkach w powiecie bytomskim w II połowie ub. stulecia).

„Wprawdzie można było zatrudniać robotników młodocianych dopiero od 16 roku życia, ale zanim do tego wieku doszły, korzystano bezpłatnie z pracy dzieci; wszak były one tylko „prywatnymi pomocnikami” a zatem wszystko było w

nym (czyli podczas wojny prusko-duńskiej!) ojciec zlitował się i zabrał Marcina z powrotem do domu. Minał znowu rok, kiedy pewnego ranka Marcin Kloska pocałował rękę matczyną, która wetknęła mu za pazuchę dwie krajki chleba i skibkę sera, by w księżycowej poświacie nocy zimowej, przejść po raz pierwszy przez bramę kopalni na szczytę dwunastogodzinną, zaczynając się o 4 rano. Było to tego samego roku, kiedy za oceanem Abraham Lincoln padł od kuli mordercy.

Następnego roku, przeszła przez Śląsk wojna prusko-austriacka, trwająca niespełna sześć tygodni, mglisty pierwowzór hitlerowskiego „Blitzkriegu”. Dudniły podkute buty ulicami śląskich miasteczek, niosła się po polach i lasach pieśń ludzi spędzonych dla wojowania za Franciszka Józefa. „Marszałek Windischgraetz i wojenne pany, od samego rana wojowali...” Od samego rana wojowali też tego dnia, kiedy wyrostek Marcin Kloska, przycupnięty za wzgórzem, szeroko rozwartymi oczyma śledził potyczkę między wrogimi armiami i widział, jak 16 rannych broczyło krwią na śląskiej ziemi, za sprawę, która nie była ich i nie była jego.

Sprawa nie była jego — i tak się złożyło, że Marcin Kloska nigdy nie walczył za sprawę króla Prus. Pracował ciężko dla Frau Thiele-Winkler, właścicielki kopalni. Była to praca ciężka dla dorosłego mężczyzny a już ponad siły dla szesnastoletniego chłopca. Ale przecież w owych czasach — jak notuje historyk — „władza i pracodawcy twierdzili, że chłopcy we wspomnianym wieku wałęsają się beczynn timer psują się, dlatego praca w kopalni i na powierzch-

Jest to prawdziwa opowieść o spotkaniu z trzema ludźmi z jednej kopalni. Będzie tam mowa o nadchodzących urodzinach, na których śpiewanie „Sto lat!” byłoby grubym nieaktym, o czło-wieku u którego widok aparatu fotograficznego wywoływał nieprzyjemne skojarzenia, o pewnym wygranym meczu w siatkówkę i o innych sprawach, które pozwolą na konfrontację różnicy wieku i wieków, jaka dzieli jednego z najstarszych w Polsce wyborców — od jednego z najmłodszych.



Kloska miał 15 lat podczas wojny prusko-austriackiej; był już 20-letnim górnikiem, Wilhelmem II, miał 74 lata podczas spotkania polskich i niemieckich komunistów



borczy zrozumie ich dołę: „... bieda górnośląska weszła już niejako w przysłowie. Marniejemy powoli lecz marniejemy ciągle. Najwięcej nam dokucza niepewność stanowiska i wszystkich stosunków, niepewność zarobków, pracy, losu, jutra. Robotnik jest całkiem zależny od łaski i niełaski swych przełożonych, może być roboty pozbawiony z powodów drobnych, pozornych, nieuzasadnionych, dowolnych — a wydalonym, trudno trafić na swoje miejsce, trudno nawet dostać pracę gdzie indziej, skutkiem pewnej solidarności przełożonych. Przy pierwszej lepszej sposobności każą robotnikowi iść w świat. Dozorcy odchodzą się z robotnikiem w kopalni i hucie po grubiańsku, wyzywają okropnie, biją czasem surowo...”

Marcin Kloska zaciskał nieraz pięść w złości. Szary człowiek nienawidził Prusaków, nienawidził baronów węglowych i wierzył, że nadejdzie dzień, kiedy jedni i drudzy znikną ze śląskiej ziemi. Marcin Kloska pracował w kopalni aż do roku 1908. Niemal dokładnie wtedy, kiedy winda kopalniana wyciągnęła po raz ostatni z podziemia odchodzącego na emeryturę górnika Marcina Kloskę —

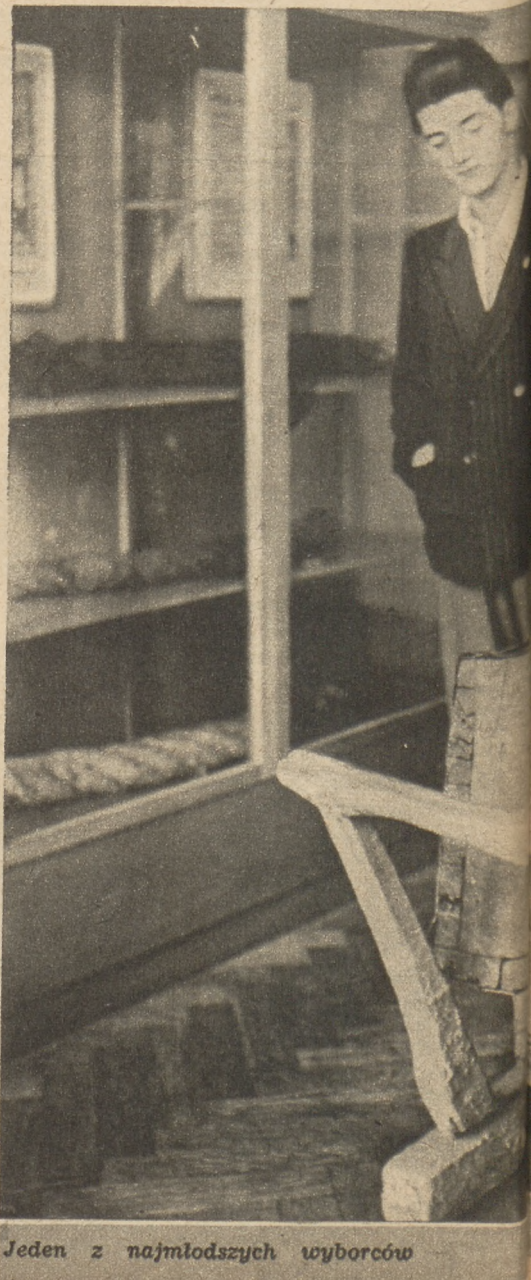
porządku: ciągnięto zyski z nieopłacanej pracy a i ustawie działo się zadość! Za lichą zapłatę pracował ojciec razem z dzieckiem z czego pracodawca mógł być jeno zadowolony”. (Emil Caspari na łamach „Ekonomisty”, rok 1909).

„Powierzał życie swe górnik wątłemu łyczkowi, gdy zawieszony na nim spuszczal się do szybu; i w tym szukać należy sposobu mówienia: życie na łyczku ważyć”. (Hieronim Łabęcki: Górnictwo w Polsce; rok 1841).

ni musiała być dla nich schronieniem i ucieczką, gdzie się wcześniej przyzwyczajali do uregulowanego trybu pracowniczego żywota. Gdy na wniosek socjalistów chciano zakazać zupełnie pracy młodocianych po kopalniach, wtedy orzekli lekarze-rzeczoznawcy, że praca w kopalni nie jest szkodliwa dla młodzieży, owszem, nawet pomaga ich sile i zdrowiu”.

Marcin Kloska miał już 19 lat, kiedy znowu król Prus potrzebował żołnierzy, kiedy „Bartek-Zwycięzca” pomaszerował na równiny Francji. Nie szedł z nim Kloska — on wtedy nie mógł nawet dojść do pracy: wiosną tego roku, przywalony został na przodku bryłami węgla. Bezpieczeństwo pracy uważane było wtedy za wymysł diabelski. Ludzi można było kupić tanio a ich życie lub cierpienie w ogóle nic nie kosztowało. Marcin Kloska głodował na barłogu, leżąc z pogruchotaną nogą, kiedy stłumiony został bohaterski zryw Komuny Paryskiej, kiedy proklamowano cesarstwo niemieckie. Powoli zwleka się z posłania i znowu staje do pracy: przez 12 godzin dziennie popycha przed sobą drewniane taczki z węglem — takie możecie już dziś zobaczyć tylko w Muzeum Górnika w Sosnowcu. Historia mówi o ówczesnej pracy w śląskich kopalniach: „Trudno jest nieobebranemu ze stosunkami tutejszymi wyobrazić sobie los i żywot takiego robotnika. Życie jego stanowiło jedno pasmo męki i udrczenia. Był to wół roboczy, prawie już nie myślący, człowiek, który zatracił w sobie poczucie godności ludzkiej”.

Kiedy Kloska miał 29 lat, czyli przed 72 laty, poszła ze Śląska petycja od nawińnych, ludzących się, że parlament za-



Jeden z najmłodszych wyborców



gdy proklamowano cesarstwo niemieckie; był od 5 lat emerytem, gdy na rok przed I wojną światową król angielski Jerzy V gruchał czule w Berlinie ze swym kuzynem na Śląsku; 100 lat — podczas Festiwalu Berlińskiego. Szczęśliwy jest, że starczyło mu życia, aby doczekać kresu kapitalizmu w ojczyźnie. Polska Ludowa przyszła do niego.

inna winda kopalniana w rejonie Morawskiej Ostrawy, zabrała ze sobą zjeżdżającego po raz pierwszy pewnego szesnastoletniego Polaka, nazwiskiem Józef Kociuba.

JÓZEF KOCIUBA: „PRZEKLINAM LOS POLAKA”

Oświaty? W roboczym tłumie
Trzeba oświaty niewiele:
Czytać na książce niech umie,
By mógł się modlić w kościele.
Tylko modlitwa i praca
Od myśli zdróżnych ochroni
Nauka w głowach przewraca —
Doprawdy, czego chcą oni!

Jeśli do nędzy dochodzą,
To tylko z winy swej własnej:
Czemu tak licznie się płodzą
Gdy kraj i tak już za ciasny?
Wstyd przez nich za kraj nasz dziki
Już po Europie nas goni:
Polaków zwą tam „króliki”
Doprawdy, czego chcą oni!

(z wiersza anonimowego w „Górniku”
wydawany po polsku w Morawskiej
Ostrawie, rok 1908).

„Dawniej, przed każdą szczytą opuszczał się w głąb kopalni człowiek zwany „pokutnikiem” (pierwotnie był to więzień), który w wilgotnej odzieży i wilgotnej masce glinianej na twarzy, przebiegał wszystkie chodniki, niosąc przed sobą pochodnię metrowej długości. Zalogą zjeżdżała dopiero wtedy, gdy wrócił z podziemia; jeżeli „pokutnik” nie powrócił, to wiedziiano, że gazy metanowe zapaliły się od jego pochodni i zabiły go. Górnicy czekali na powierzchni aż gaz wypali się do końca i powietrze się oczyści. To stosowane przez wieki codzienne poświęcanie jednego człowieka nie skutecznie chroniło od katastrof niż wiara i zabobon. Kościół zalecał każdej rodzinie górniczej nowennę raz w roku — gdyż to pomoże u Boga i wszystkich świętych. Aby jednak zapewnić sobie również życzliwość duchów kopalni, noszono stale w kieszeni szyszkę jodłową, zerwaną przy świetle księżyca”. (Egon Erwin Kisch: „Borinage — kraj poczwórnie klasyczny”, rok 1934).

„Mój kolega wyciąga ręce i pokazuje mi. Ma paski na stawach z przemożenia rąk. Mówi: Jestem z Dąbrowy Górniczej, przeklinam los Polaka”. (z pamiętnika

górnika Leopolda Bornia o pobycie w Belgii).

W IZBIE Rady Zakładowej kopalni „Wieczorek” czekaliśmy na przybycie jednego z najmłodszych wyborców w Polsce, rozmawiając tymczasem z Józefem Kociubą. Patrzył on bez entuzjazmu na przygotowania do fotografii. Zapytaliśmy:

— Nie lubicie się fotografować?

— Nie, to może nie, tylko że...

Kiedy opowiada, potwierdza się raz jeszcze teza, że prawdziwe życie jest znacznie ciekawsze, znacznie bardziej bogate niż to, które może wymyśleć fantazja. Górnik Józef Kociuba urodził się przed 60 laty i jako szesnastoletni chłopak, wywędrował za chlebem na obczyznę — do Morawskiej Ostrawy. Życie pracujących tam wtedy górników-Polaków odżywa już choćby z tytułów notatek i artykułów „Górnika” — Organu „Unii Górników w Austrii” z roku 1908, a więc z tego roku, kiedy Kociuba tam przybył. „Panowie depcą umowę”, „Żandarmi na służbie baronów węglowych”, „Rezolucja do świetnego c. k. Urzędu Górniczego w Morawskiej

Ostrawie”, „Zmarł pod płótnem”. I w każdym niemal numerze, ogłoszenie: „Karty okrętowe do New Yorku można otrzymać już za 153 k. w Biurze Podróży Morawsko-Ostrawskiego Handels- und Gewerbe Banku”.

Po trzech latach pracy — wojsko. Łata całe w mundurze; najpierw na froncie a później w niewoli rosyjskiej. Po wybuchu rewolucji, na wiosnę 1918 roku, grupa jeńców-Polaków ruszyła na zachód. Szli piechotą cztery miesiące przez lasy, nim wreszcie dotarli do punktu werbunkowego Armii Czerwonej. W pamięci Józefa Kociuby pozostało jeszcze wyraźne wspomnienie o długich nocach na biwakach w syberyjskich borach, o życzliwości ludzkiej i — to najwyraźniejsze wspomnienie — o dzikich gęsiach, które nad głowami tułaczy leciały na zachód, może właśnie do Polski?

W szeregach Armii Czerwonej walczył z Petlurą nad Dnieprem. Kiedy w roku 1919 wrócił do swej ojczyzny, Polska powitała go... trzema miesiącami więzie-

Dokończono na str. 10



Romuald Bitner narzędzia pracy Kłoski może oglądać już tylko w Muzeum Górnika. Po pracy wybrał się do kina z Krystyną Kłoską — daleką krewną Marcina Kłoski.

nia za nielegalne przekroczenie granicy. Jakis czas pracuje dorywczo — aż w roku 1923, dostaje się znów do armii: tym razem do milionowej armii bezrobotnych. Po roku wyjeżdża znowu na obczyznę, na 21 lat emigracji we Francji i Belgii. W 1924 roku wstępuje do Komunistycznej Partii Francji. W Belgii pracuje w okręgu Borinage, o którym właśnie pisał „szalejący reporter” Egon Erwin Kisch. Tam były lata walki, którą Kociuba dobrze pamięta.

Nadszedł rok 1941: pod okupacją hitlerowską zabrakło chleba i górnicy zastrajkowali. Dyrektor kopalni zatelefonował po gestapo. „Chcecie chleba? Zaraz przywiozą na ciężarówkach!”

Ciężarówka, które istotnie nadjechały, były jednak puste. Przyjechały przecież dopiero po ładunek, jak to zwyczajnie gestapowskie ciężarówka. Dwa i pół dnia wieziono 140 górników, stłoczonych na samochodach — aż osadzono ich w okolicy Brunszwiku. Kociuba postanowił tam dla bezpieczeństwa udawać Belga. Pewnego dnia zatrzymał go jakiś Niemiec — twarz skądś znajoma. „Poznajesz mnie? Przecież jesteś Polakiem!” Kociuba gwałtownie zaprzeczył. Po kilku dniach rozmowa była dłuższa i doprowadziła do obojawnego rozszyfrowania. Był to niemiecki komunista z którym Kociuba dostał się podczas I wojny światowej do rosyjskiej niewoli na rumuńskim froncie. Razem siedzieli w obozie jeńców pod Irkuckiem. Szybko doszli do porozumienia. W kilka tygodni później, w mieszkaniu Józefa Kociuby w Belgii, ludzie w czarnych mundurach i z trupimi czaszkami na czapkach liczyli starannie odzież i bieleżnę polskiego górnika. „Pani mąż uciekł — ale wpadnie znowu w nasze ręce” — powiedzieli na odchodnym Kociubowej. Józef Kociuba przekradł się jednak z pomocą twarzyszy do partyzantki do Francji a w roku 1945, powrócił do Polski i...

— Właściwie jednak odbiegliśmy od tematu: jak to było z tym fotografowaniem?

— A to było tak: kiedy w Belgii urządzaliśmy manifestacje, to w tłumie kręcili się agenci policji i robili zdjęcia. Potem przychodzili na kopalnię i szukali między wychodzącymi z pracy tych, których mieli na odbitkach. Jeżeli to był cudzoziemiec, to dostawał 12 godzin czasu na wyjazd... Ale oto, wiecie, to jest ten, o którego Wam chodziło...

Na progu stał młody, wysoki człowiek. Przybliżył się i powiedział: Ja jestem Romuald Bitner.

ROMUALD BITNER: „NARÓD UFA SWEJ MŁODZIEŻY”

„Przed młodzieżą polską, która w latach przedwojennych była pokoleniem pozbawionym przyszłości, dostępu do pracy, do nauki, do zawodu — szeroko otwały się wrota szkół i fabryk. Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dała młodzieży pełnię praw obywatelskich, powołując ją do czynnego współudziału w rządzeniu państwem. Naród ufa swej młodzieży i widzi w niej przyszłość Polski” (z programu Wyborczego Frontu Narodowego, 1952 rok).

GRA była bardzo napięta; notowano już nawet stan 14:14 aż wreszcie dwa celne ściecia przyniosły zwycięstwo reprezentacji kopalni „Wieczorek” rozgrywającej w barwach ZS „Górnicy-Janów” mecz w siatkówkę w eliminacjach powiatowych.

Zawodnik Romuald Bitner, zadowolony z wyniku, zszedł z boiska. Szybko przebrał się, gdyż umówił się do kina z koleżanką z tej samej kopalni, Krystyną Kłoskówną, daleką krewną tego starego górnika — no wiecie, tego co to ma 101 lat! Jest jesień 1952 roku...

Epokę tę jednak poznaje się nie tylko po tym, że młody górnik gra po pracy w siatkówkę lub idzie ze swą dziewczyną do kina... Znajac już jednego z najstarszych w Polsce wyborców, staraliśmy się odnaleźć na tej samej kopalni jednego z najmłodszych. Bitner zalicza się do nich: urodził się 13 października 1934 r. czyli że w dniu wyborów będzie świeżo upieczonym osiemnastolatkiem. Kłoska i Kociuba w jego wieku już dawno pracowali pod ziemią. Teraz nie wolno — prócz szczególnych wypadków — zatrudniać pod ziemią przed ukończeniem 18 lat. Kiedy jego poprzednicy pracowali dziennie po 12 godzin, jako „prywatni pomocnicy” lub na własną rękę, Bitner ma już za sobą dwuletnią szkołę zawodową przy kopalni. Z tytułem „mechanika górniczego” będzie obsługiwał nowoczesny sprzęt techniczny, który już pracuje w kopalni „Wieczorek”, a który jest przyszłością całego górnictwa polskiego. Bitner nie chce poprzestać na tym wykształceniu i chce uczyć się dalej, chce ubiegać się o przyjęcie do Akademii Górniczo-Hutniczej lub na Politechnikę. Wie dobrze, że tylko zdolności i praca zadecydują o przyjęciu, że robota czeka na niego.

Przemiany, których dobrodziejstwa odczuwa na sobie szczególnie wyraźnie pokolenie Bitnera, nie przyszły same. Wywalczyli je ludzie. Był między nimi ktoś, kto właściwie jest głównym bohaterem tego reportażu. Ja już go, niestety, nie spotkałem, gdyż nie ma go między nami. Żyje on dalej w pamięci wielu ludzi z tej kopalni. Człowiek ten, dał swe imię kopalni. Nazywał się Józef Wieczorek.

JÓZEF WIECZOREK: „TĘSKNOTA POETYCZNA”

„Owionie nieraz górnika w samotnym odcieciu od świata i ludzi tęsknota poetyczna, która rzeczywiście ludzi tego zawodu odznacza w ich życiu, uczuciach i toku myśli”. (Hieronim Łabęcki: „Górnictwo w Polsce”. Rok 1841).

W TĘSKNOCIE poetycznej górnika Józefa Wieczorka widniała Polska bez konserwów, bez Gieschego i Harrimana, bez Bismarcka i Hitlera. Na marzenia stać każdego — ale trzeba umieć o marzenia walczyć. Walczył o nie Wieczorek w szeregach powstańców śląskich, później jako przewodniczący Rady Zakładowej kopalni, na której pracują Kociuba i Bitner, a na której też pracował Kłoska. Walczył w roku 1923 jako organizator słynnego, jednolitofrontowego „Komitetu 21”, który niemal dokładnie przed 29 laty proklamował strajk generalny, pod którego hasłami 50 tysięcy ludzi manifestowało przed województwem w Katowicach.

Długo mówić o walce i życiu Józefa Wieczorka. O walce, którą wiodł nieustraszenie. O życiu, które zgasiło w Oświęcimiu w roku 1944. Członek KC PPR, rozpoznany i wskazany gestapo przez szpicla przedwrześniowej „defy”, badany w śledztwie przez jednego ze spadkobierców Gieschego — który wraz z Harrimanem był współwłaścicielem kopalni w Janowie, Józef Wieczorek nie wydał nikogo ani niczego, mimo straszliwych tortur. „A przecież on nas wszystkich znał, on wiedział wszystko o naszej robocie, którą sam prowadził na Śląsku” — powiedział mi w ubiegłym tygodniu w Warszawie jego długoletni towarzyszy pracy i walki, sekretarz Centralnej Rady Związków Zawodowych — Marian Czerwiński.

Pewnej upalnej nocy letniej, inny towarzyszy walki Józefa Wieczorka pracował jak zwykle do późna w swym gabinecie w pałacu Belwederskim w Warszawie. Na zakończenie dnia, sięgnął po teczkę z wnioskami orderowymi, gdzie zawarte były dzieje i zasługi wielu produjących ludzi w Polsce. Czytał historię Marcina Kłoski, którego zostawiliśmy w roku 1908, gdy w podeszłym już wtedy wieku odszedł na emeryturę, czytając historię jednego pracowitego, górnika życia...

Polska Ludowa przyszła do Marcina Kłoski tak samo, jak weszła w życie młodych górników. Przestał być niepotrzebnym starcem — stał się szanowanym, zasłużonym górnikiem, którego Związek otacza szczególną opieką. Przed dwoma laty Marcin Kłoska miał pierwsze w życiu wczasy, pierwszy raz był w uzdrowisku. Wraz z wnuczką ów 99-letni górnik pojechał samochodem do Katowic. Tam wsiadł do należącego do Związku Górników autobusu, dowożącego szybko i bez zmęczenia górników z samego serca Śląska do otoczonego zielenią ich prewenterium w Szczawnicy — Zdroju. Marcin Kłoska chodził sobie na spacer, gadał ze wszystkimi, jadł z apetytem — były to prawdziwe wakacje człowieka, który dopiero u schyłku swych dni może zakosztować tego, co dziś jest oczywistością dla naszego pokolenia.

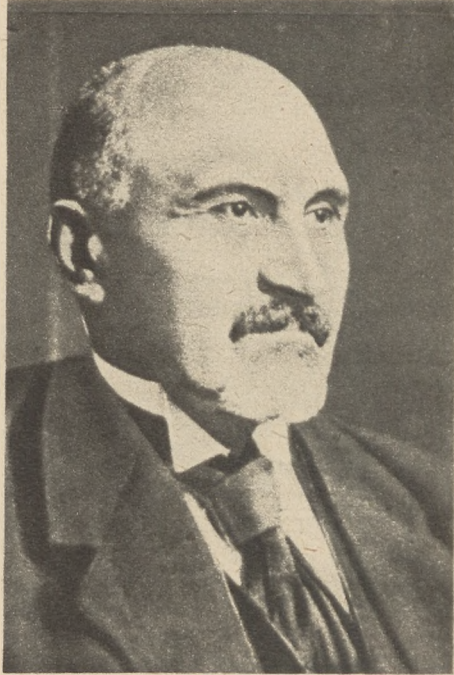
Prezydent czytał o starym górniku, czytał o jego umiłowaniu polskości, o latach pracy pod ziemią w najcięższych warunkach, o radości z faktu, że starczyło mu życia aby doczekać kresu kapitalizmu w Polsce... Wraz z wnioskami o nadanie orderów dla innych zasłużonych ludzi, podpisany też został wniosek o odznaczenie dla Marcina Kłoski. emerytowanego górnika, urodzonego w roku 1851.

Mieszkańcy Janowa nie zapomną tego lipcowego popołudnia, kiedy na dziedziniec starego domu, gdzie w osiedlu górniczym mieszka Marcin Kłoska, zajęły cztery osobowe samochody. Ludzie zalegli okna okolicznych domów patrząc, jak wiceminister Górnictwa — Mitrega i sekretarz CRZZ — Czerwiński, idą na piętro skrzypiącymi drewnianymi schodami, niosąc małe, czerwone pudełko i oprawny w płótno akt nadania. Za nimi szli w delegacji ludzie z kopalni „Wieczorek” — tej samej, gdzie tyle lat mazał się Kłoska, i która nie należy już teraz ani do Frau Thiele-Winkler, ani do spółki Harrimann-Giesche, — a która jest własnością narodu polskiego. Małe mieszkanie nie mieściło tych wszystkich, którzy chcieli widzieć na własne oczy, jak stary górnik otrzymuje order. Marcin Kłoska patrzył w milczeniu na przybyszów, patrzył na Złoty Krzyż Zasługi — i gdy odznaczenie to powędrowało na jego pierś, swą suchą, lekko drżącą dłonią, zatrzymał dłoń dekorującego i gładził ją przez chwilę w niemym podziękowaniu. Łzy radości płynęły po jego pomarszczonej twarzy i wszyscy wraz z nim się cieszyli, że doczekali, że nadszedł dlań dzień sprawiedliwości.

Odjechały samochody z odświętymi gośćmi. Powrócili do pracy górnicy z „Wieczorka”. Jesienią 1952 roku, reporter patrzył w małym pokoiku na piętrze przy ulicy Wolności 89 w Janowie Śląskim na pogodną jesień życia starego górnika, który przeżył wszystkie prócz jednego ze swych 12 dzieci, który jednak czuje, że nie jest sam, że z nim jest cały naród. Zegar odmierzał nadal godziny, minuty i sekundy, zbliżając się do chwili, kiedy wydzwoni 101 rocznicę urodzin. Przez okno widać było dalekie, zamglone sylwetki kopalnianych budynków. Przecież to serce Śląska — kraju, gdzie czas nie ma wytchnienia.

Muszę już odejść, pośpieszyć za wskazówkami zegara.

LUCJAN WOLANOWSKI



PRZEZ 27 lat zasiadał w sanacyjnych sejmach, jako przedstawiciel chłopów podlaskich. Stale kandydował z jednego i tego samego okręgu wyborczego, który obejmował powiaty: Biała Podlaska, Radzyn, Konstantynów i Włodawa, a więc powiaty zamieszkałe w większości przez biedotę wiejską. W każdej kampanii wyborczej występował jako „przyjaciół ludu” i nie szczędził temuż ludowi rad, przestróg i wskazówek, jak żyć no i kogo przede wszystkim do sejmu wybierać.

Kiedy zbliżały się wybory do sejmu w roku 1928 kandydat wzmógł wysiłki.



U NAS.

Bogacz: — Ciesz się, proletariuszu! Myślę o tem, żeby cię uszczęśliwić królem.

Biedak: — Czy przez to kartofle stanie, żeby się miał cieszyć?



NA GIEŁDZIE WYBORCZEJ.

— Za 20 tysięcy możesz pan mieć mój głos do Sejmu, a jak pan dolożysz drugie tyle, to do Senatu, bo godność senatorska zawsze honorowsza od poselskiej.



JÓZEF KOCIUBA: DZIESIĄTKI LAT TUŁACZKI I PONIEWIERKI

„PRZYJACIEL LUDU” — PAN NA SUCHOWOLI

Przez wieś przeszła fala strajków rolnych. Chłopi poczęli się burzyć widząc, że są stale oszukiwani przez rządy i przez fałszywych przyjaciół ze stronnictw niby- chłopskich.

Nasz kandydat uzbroił się więc w poręczniejsze argumenty, a że mu gotówki nigdy nie brakowało, zarzucił cały okręg propagandową broszurą wyborczą. Zatytułował ją dostojnie:

DWADZIEŚCIA LAT POSŁOWANIA

„Byłem przez lat osiem prezesem Centralnego Towarzystwa Rolniczego — przedstawia się na wstępie — a na tę godność wybierał mnie również ogół rolników większych i drobnych, a obecnie od chwili wskrzeszenia Polski zasiadałem w Sejmach pierwszym i drugim, jako przedstawiciel Podlasia.

Gdy wybierano mnie przed 20 laty do Dumy^{a)}, to kazano mi złożyć uroczystą przysięgę, że interesów ludu wiejskiego nigdy nie zdradzę. Pomyślałem sobie wówczas, że dla człowieka, który te interesy miał w sercu swoim, przysięga ta jest niepotrzebna. Od tej pory ani razu nie zażądano tej przysięgi po raz wtóry, przekonano się bowiem, że interesu ludu polskiego i Polski nie są u mnie na języku albo w mowie, albo na papierze wypisane, ale są w sercu wyryte i że pilnuje ich najwierniejszy i najpewniejszy stróż, to jest serce człowieka”.

Słowa te wydają się tak szczerze, a wypowiadający je „ludowiec” tak nieska-

zitelny, że chyba możemy już go przedstawić naszym Czytelnikom. Częściowo zrobi on to sam. Piszę bowiem dalej:

„Pan Bóg kazał mi się urodzić w książęcym domu, miałem i mam dostatek, mam większy majątek ziemski. Jestem tym, jak ich obecnie nazywają, obszar-nikiem, a więc tego rodzaju człowiekiem, jakiego obecnie przedstawiają jako wroga ludu, a nawet, jak mi niedawno powiedziano, jako wroga Państwa Polskiego”.

A więc nasz „ludowiec” to książę. Pan Bóg mu się tak kazał biedaczce urodzić. Ale książę pan przyjął zrządzenie boskie ze spokojem, poddał się złemu dopustowi i przyjął po tatusiu tytuł i ziemskie posiadłości. Nazywał się więc: Seweryn Franciszek Kalikst książę Światopełk-Czetwertyński. Był synem księcia Włodzimierza i Marii Wandy z hrabiów Uruskich. Ożenił się — nie pytając Pana Boga o zdanie — z Zofią hrabianką Przeździecką. Majętność jego to Suchowola w woj. lubelskim. Tu-dzież lasy, gorzelnie, domy, udziały, akcje itp.

Wiedział snać frant, że chłopów byle sztuczką nie weźmie. Poszedł więc do wyborów pewnym chwytem, zwać się „łapaj złodzieja”. Tak bowiem apeluje do swoich wyborców:

„Nie mogę zrozumieć, dlaczego lud polski wiejski tyłu posłał do pierwszego i drugiego sejmiku posłów. Powód to ten, że ci... obiecują złote góry, którzy i teraz zapowiadają odebranie ziemi, lasów



„Przyjaciel ludu” podczas polowania na dziki. Rej wodzi ks. Czetwertyński (x).

i kopalni ich właścicielom, którzy teraz zapowiadają rozmaite ulgi i pomoc ludowi wiejskiemu. A niestety są tacy, że na takich oddają swój głos, mówiąc sobie po cichu: „Może mi coś dadzą”, ale ja — tu błękitna krew zalała księcia pana po sam czub czupryny — twierdzą przeciwnie.

Zadne państwo konstytucyjne nie może nic za darmo odebrać swojemu obywatelowi. Polsce potrzeba przede wszystkim wielkich podatków, a to dlatego, że same procenta od zaciągniętych pożyczek wynoszą 200 — 300 milionów złotych rocznie i dlatego wszyscy posiadający czy to majątek, czy lasy, czy kopalnie, czy fabryki, muszą być pozostawieni w spokoju, aby te podatki mogli regularnie płacić”.

I czyż może się teraz ktoś jeszcze dziwić, że przez tyle lat posłowania takich „przyjaciół ludu”, jak:

Seweryn książę Czetwertyński, Eustachy książę Sapieha, Leon książę Sapieha, Janusz książę Radziwiłł, ordynat Maurycy hr. Zamoyski, Witold książę Czartoryski, Adam hrabia Stadnicki, baron Goetz-Okocimski, książę Światopełk-Mirski, Artur hrabia Tarnowski, Wojciech hrabia Gołuchowski i dziesiątki im podobnych —

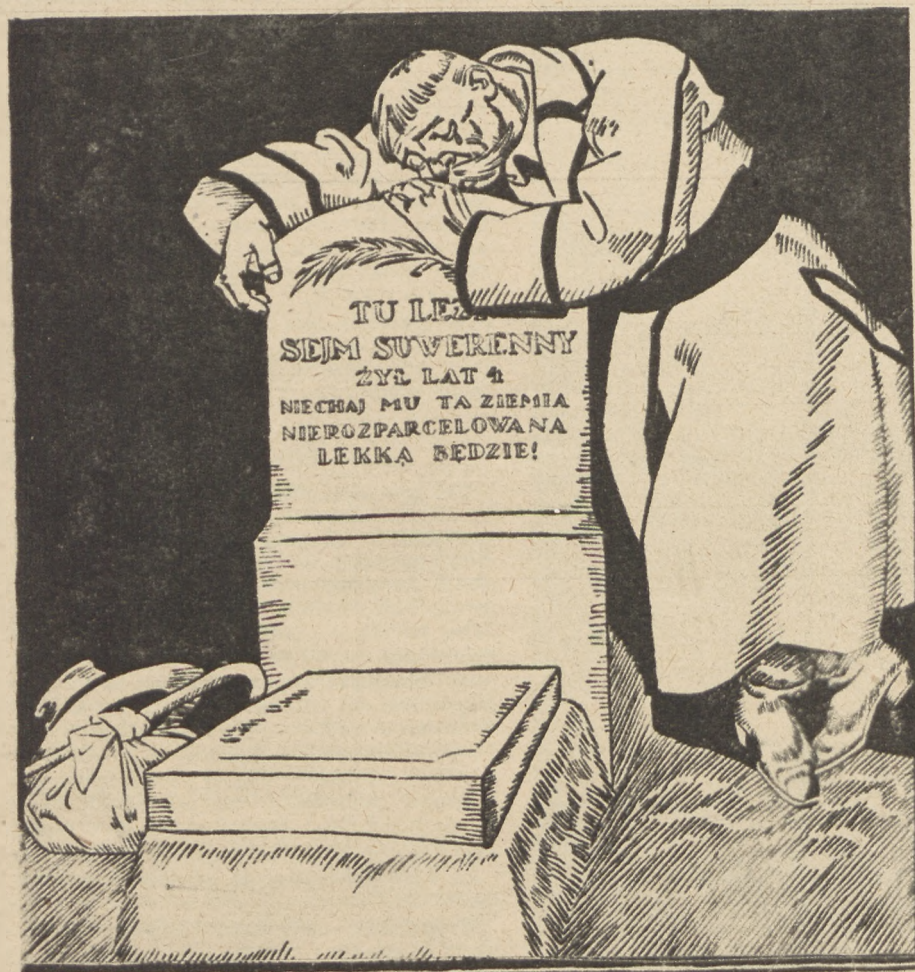
ustawę o reformie rolnej spokojnie i w ciszy zjadły w sejmie myszy.

TADEUSZ KŁOS

„ŚWIAT” przypomina!

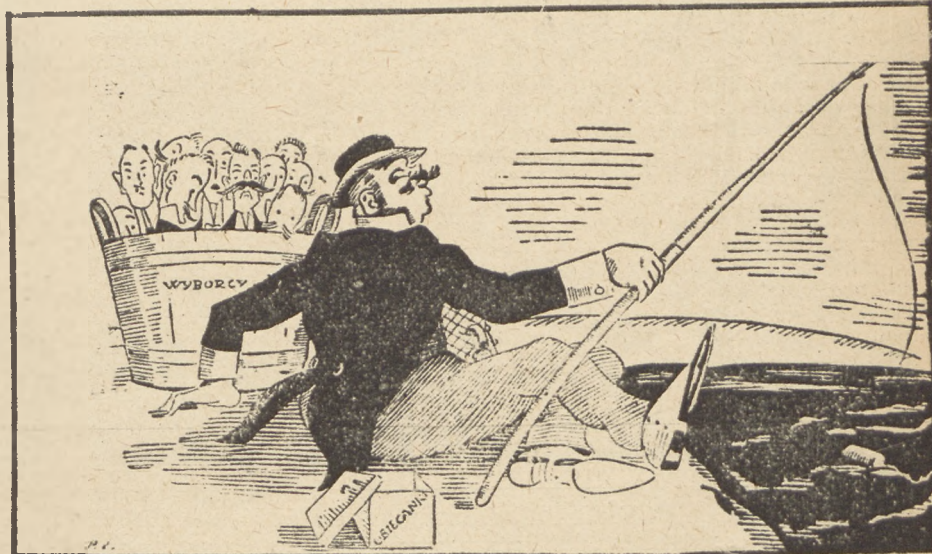
„DEMOKRACJA” I „DEMOKRATYCZNE” WYBORY PRZED TRZYDZIEŚCIU LATY

Na jesieni roku 1922 odbywały się w Polsce „demokratyczne” wybory do Sejmu i Senatu. Cóż o tych wyborach dzisiaj powiedzieć. Nic nie powiemy, a tylko przypomnimy kilka rysunków ze współczesnej „Muchy”. Było to pismo wcale nie postępowe. Przeciwnie — wybitnie młuszczące. Ale nie mogło widać — nawet ono — pominąć tak bardzo charakterystycznych objawów owej osławionej burżuazyjnej „demokracji”:



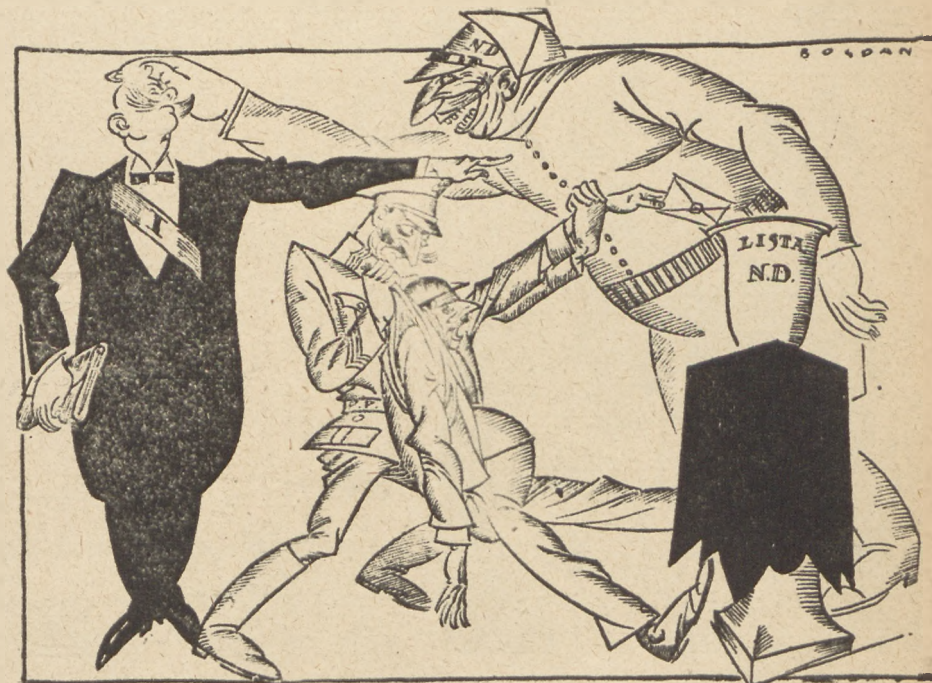
POŻEGNANIE STAREGO SEJMU.

CHŁOP MAŁOROLNY: Jeżeli stare Sejmisko puściło nas z kwitkiem, to czego możemy się spodziewać po nowym Sejmie? Chyba w kark.



PRZY ROBOCIE.

Leader partii: Mam już wyborców całą kądź! A dlaczego? Bom usiadł przy mętnej wodzie, gdzie się najlepiej rybki łowi.



WYZNANIE WIARY

ENDECJA: „Poprę jedynie rząd, który da krajowi czyste wybory”.



Pod Paimpol w Bretanii, niewielki dom w zieleni, nad urwistym brzegiem morza. Budynek z granitu, otoczony malwami, umeblowany oszczędnie i skromnie. Przyjeżdżają tu co roku małżonkowie Joliot-Curie. Przed pół wiekiem przebywała tu nieraz Maria Curie-Skłodowska.



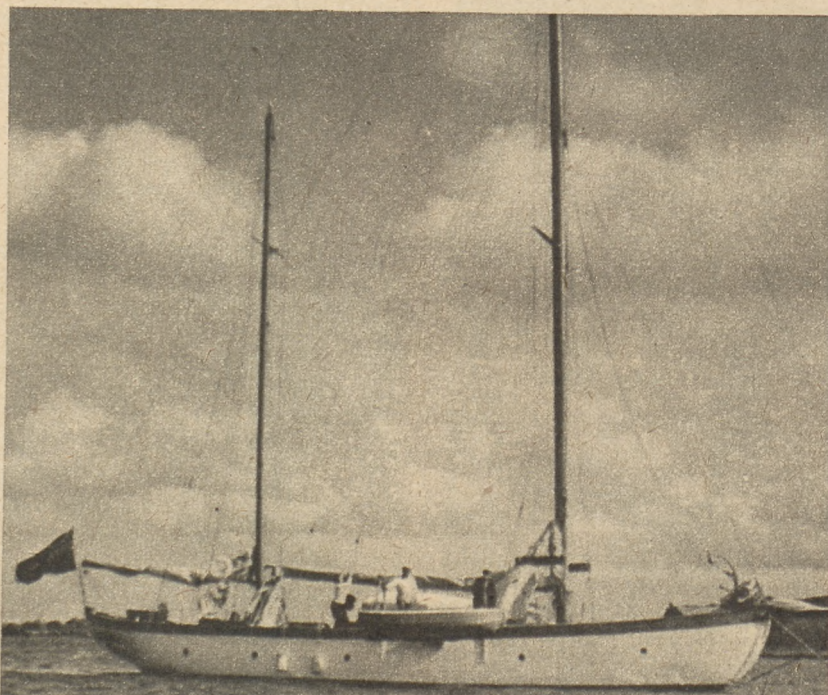
— Fryderyka nie ma w domu, pojechał na regaty... — Irena Joliot-Curie bawi się z wnuczką. Oczekuje powrotu męża bez zbytej niecierpliwości — jak prawdziwa żona marynarza...



Regaty nie odbyły się. Profesor wyjechał przy śniadaniu na złą pogodę, gwałtowny wiatr i niskie chmury.



— Poszaleli... w taką pogodę nie trudno o wypadek... Joliot-Curie obserwuje statki płynące po zatoce. Zna je wszystkie dobrze.



Do zatoki wpływa właśnie jacht angielski. — Staże na kotwicy — zawołał profesor — a jest na terenie „ogrodu morskiego”... Za dwie godziny będzie odpływ i żaglowiec utknie!... Trzeba powiadomić kapitana...

ODWIE Prof. JOL

24 GODZINY W D

FRANCIS

Reportaż w

WSZELKIE PRAWA

Paryż, w sierpniu

O PROFESORZE JOLIOT-CURIE — wielkim uczonym i wielkim bojowniku o pokój, przewodniczącym Światowej Rady Pokoju — czytaliśmy już nieraz i wiemy niemało. Miliony Polaków i Polek — podobnie jak ludzie wszystkich krajów świata — znają z niejednej fotografii twarz tego znakomitego uczonego, którego wiedza i szlachetna postawa przedmiotem dumy nie tylko narodu francuskiego, ale całej ludzkości miłującej proste szczęście człowieka, jego godności i jego wolności.

To, co przeczytacie teraz, nie jest po prostu jeszcze jednym artykułem o Fryderyku Joliot-Curie. Jest to raczej tekst filmu dokumentarnego: dnia 15 sierpnia miałem szczęście przebywać z profesorem i chciałbym podzielić się z Czytelnikami „Świata” tym, co widziałem i słyszałem.

DRZEWKA, KTÓRE SADZIŁA MARIA CURIE-SKŁODOWSKA

Wszystko to dzieje się w Bretanii, kilka kilometrów od Paimpol. Irena i Fryderyk Joliot-Curie spędzają tu wakacje od dwudziestu pięciu lat. Przyjeżdżała tu już matka Ireny — Maria Curie-Skłodowska. Oni i ci, którzy wraz z nią „odkryli” na nowo Paimpol — profesorowie Langevin i Karol Seignobos. Było to na początku wieku. Dzisiaj, po pięćdziesięciu latach, na wybrzeżu szumią sosny, eukaliptusy i krzewy mimozy, nad kanał La Manche przybiera w gościnę śródziemnomorska roślinność. Stary wieśniak z tych stron, który spędził życie z daleka od rodzinnych okolic, nie poznałby ich teraz.

— Te drzewka sadziła moja matka — mówi Irena Joliot-Curie — co roku pięćdziesiąt drzewek...

Maria Curie-Skłodowska zbudowała także ten domek, budynek nad urwistym morskim brzegiem, niewielki dom z granitu, otoczony malwami, umeblowany oszczędnie i skromnie.

Pokój Fryderyka Joliot przywodzi na myśl sklep z artykułami dla rybaków i myśliwych. Wysokie, gumowe buty, wędki, przyrządy żeglarskie, liny i sznury, a obok — mały warsztat naprawczy. Pokój jego żony, Ireny, również wybitnej i sławnej uczoney, ma zupełnie inny charakter: połowe łóżko, wieszak, a na oknach firanki ofiarowane przez polskich przyjaciół. Poznał w nich bez trudu tkaninę sprzedawaną w warszawskich sklepach spółdzielni „ŁAD”, w Alei Stalina i na Nowym Świecie.

Na parterze jest obszerny pokój. Jedyne w nim meble — to podłużny stół i fortepian, przy którym profesor improwizuje, komponuje, albo gra po prostu ulubione utwory.

NA WYSPIE BREHAT I NA POKŁADZIE „MOONSHINE”

Lekarze byli nieubłagani — odpoczynek okazał się konieczny. Joliot-Curie, mimo ogromnej pracy jaką prowadzi w związku z wiedeńskim Kongresem Narodów, musiał i w tym roku wyjechać na kilka tygodni do swego nadmorskiego domu. Znajduje tutaj swoją łódź żaglową, wyjeżdża na morze, odpoczywa, żywi wielki szacunek dla wiedzy i lekarzy i lojalnie stosuje się do ich zaleceń.

— Chciałbym być marynarzem na kutrze rybackim — powiedział mi któregoś dnia Joliot-Curie. Trzeba powiedzieć, że i tak jest on prawdziwym marynarzem, znakomitym znawcą żaglowców i nawigacji, i że nieraz wyrusza z przyjaciółmi na długie rejsy.

Dzisiaj wyznaczył mi spotkanie na godzinę 12, w samo południe. Stawiłem się punktualnie, ale Irena Joliot-Curie oświadczyła mi na wstępie:

— Fryderyka nie ma w domu, pojechał na regaty, na wyspę Brehat...

Byłem nieco zawiedziony i bez wielkiego apetytu jadłem śniadanie z rodziną doktora Segala, sąsiada i starego przyjaciela profesora Joliot.

Irena Joliot oczekiwała powrotu męża jak prawdziwa żona marynarza — bez zbytej niecierpliwości, bawiąc się z wnuczką.

DZAMY OT-CURIE

KU POD PAIMPOL

REMIEUX

„ŚWIATA“

DUKCJI ZASTRZEŻONE

Zaczęliśmy już kawę, kiedy profesor powrócił: morze było burzliwe, regaty nie odbyły się, a on sam głodny był jak wilk.

Ubrany w ciepły granatowy sweter, w spodniach z grubego materiału, w białych tenisowych pantoflach, z przewieszonymi przez szyję okularami na gumie, która zastąpiła normalną oprawę — Joliot-Curie wydawał się młodszy, niż kiedykolwiek. Wyrzekał na złą pogodę, na gwałtowny wiatr i niskie chmury, kiedy przyniesiono mu ulubione danie: kawałek homara, ofiarowanego przez sąsiadów. Na stole pojawiło się również pieczywo i butelka cydru.

Profesor Joliot jadł i pilnie obserwował statki, które płynęły po zatoce. Znał je wszystkie i mógł bez zająknięcia powiedzieć, kto je prowadzi.

— Poszaleli... w taką pogodę nie trudno o wypadek...

Do zatoki wpływał właśnie piękny jacht angielski.

— Załóż się, że to Blackett przyjeżdża w odwiedzi-
ny — mówi Joliot-Curie. Powiadomił mnie, że jego przyjaciele płyną w te strony i że spędzi ze mną kilka godzin...

Profesor przerwał jedzenie i przytknął do oczu morską lornetkę. Ruchy jachtu zajmują go nie bez powodu.

— Ależ on staje na kotwicy — woła Joliot-Curie — a jest dokładnie na terenie ogrodu morskiego...*) Za dwie godziny będzie odpływ i jacht utknie, trzeba im to koniecznie powiedzieć...

Dla pewności profesor Joliot sprawdza położenie statku przez lunetę. Tak! Trzeba powiadomić angielskiego kapitana — jacht jest zakotwiczony w niebezpiecznym miejscu.

Joliot-Curie biegnie szybko przez wąskie ścieżki opadające ku wybrzeżu. Sapiąc, biegnę za nim z dwoma przyjaciółmi.

Profesor wskakuje do motorowej łodzi i steruje na jacht. Za kilka minut odczytujemy jego nazwę: „MOONSHINE“.

Zaczynają się trudności: jak brzmią po angielsku terminy żeglarskie? Na szczęście, towarzyszący nam przyjaciel zna angielskie słownictwo morskie i potrafi wszystko wyjaśnić. Dobijamy do „MOONSHINE“. Morze jest dość wzburzone.

— Jesteście źle zakotwiczeni, trzeba zawrócić i stanąć na głębszej wodzie — woła profesor Joliot do angielskiego kapitana. Ale kapitan nie słyszy dobrze, jest silny wiatr.

— Czy zechciałby pan wejść na statek?

Profesor wskazuje na pokład i po chwili rozkłada na deskach mapę podaną przez kapitana, ogorzałego, flegmatycznego Brytyjczyka, który sam nie wie dokładnie, gdzie się znajduje i przyznaje to z całym spokojem. Kiwa głową, uśmiecha się. Za kilkanaście minut jacht podniesie kotwicę. My zaś wracamy do motorówki i płyniemy w stronę żaglowca profesora Joliot. Żaglowiec nosi nazwę „SAINT JUST“ — na cześć wielkiego francuskiego rewolucjonisty. Później — znowu motorówka, która odwozi nas na brzeg. Młody Segal coś sobie przypomina i wybuch śmiechem: na „Moonshine“ angielski kapitan pytał go na boku, czy „ten pan, który wskazał nam drogę, jest marynarzem?“ Joliot-Curie uśmiecha się i opowiada, jak to pewien paryżanin na urlopie, popełniając podobną omyłkę poprosił go o przewiezienie przez zatokę.

— Kiedy wylądował, podziękował mi i zaofiarował napiwek — opowiada Joliot-Curie. — Cóż mogłem zrobić? Odmówić i powiedzieć mu, że nie jestem przewodnikiem, lecz uczonym? Byłoby mu przykro, wołałem przyjąć napiwek...

KARABIN KOMUNARDA

Pijemy herbatę w małej oberży nad brzegiem morza. Przez całą godzinę Joliot-Curie rozmawia z miejscowymi marynarzami o morzu i statkach. Wszyscy słuchają go z szacunkiem: wie o tych sprawach tyle co oni i jest niezrównanym żeglarzem. Teraz powraca do

*) Ogród morski — parc a hultres — teren wodny, na którym uprawiana jest hodowla ostryg.



Profesor wskakuje do motorowej łodzi i steruje na jacht. Za kilka minut odczytamy jego nazwę: „MOONSHINE“.
— Stanęliście na złym miejscu — trzeba zawrócić na głębsze morze! Ale kapitan nie rozumie o co chodzi...



— Jesteście w tym miejscu, tutaj! — Profesor Joliot-Curie rozkłada mapę na pokładzie. Ogorzały kapitan jachtu przyznaje, że nie wie dokładnie, gdzie się znajduje. Za chwilę — uśmiechnie się z zadowoleniem, dziękując za pomoc.



Znowu na lądzie, w domku pod Paimpol. Krótki, wakacyjny odpoczynek przed obiadem. Fryderyk Joliot-Curie przegląda numer „Świata“.



Przed pożegnaniem, nie mogliśmy oprzeć się pokusie sfotografowania profesora Joliot-Curie na tle sprzętów „rybackiego pokoju“.

HITLEROWSKI WYROK ŚMIERCI NA WARSZAWĘ

KAROL MAŁCUŻYŃSKI

„GDY po ostatnim rozbiórze Polski Warszawa dostała się pod panowanie pruskie i przestała być stolicą — miasto opustoszało i zamarło... wówczas będący w pruskiej służbie Włoch Lucchesini, dawny powiernik Fryderyka Wielkiego, przedstawił rządowi pruskiemu plan, według którego wszystkie domy i place w Warszawie miały być wykupione, mieszkańcy rozproszeni, miasto zaś zrównane z ziemią... Bo Warszawa — uzasadniał Włoch — zawsze będzie ośrodkiem polskich aspiracji politycznych i nigdy Prusacy nie dojdą z nią do ładu...” (Prof. Z. Wojciechowski — przedmowa do „Documenta occupationis teutonicae” — t. II — wyd. 1946 r. Instytut Zachodni, Poznań).

Jakobińska, rewolucyjna Warszawa z ostatnich lat XVIII wieku rzucała jedną trwogę na zaborców, jak i na polskich wielmożów. Świeżo były jeszcze w pamięci dni insurekcji 1794 roku, gdy to po raz pierwszy lud warszawski w rewolucyjnym porywie stał się potężną si-

Zdjęcia pochodzą z odnalezionej w Lesznie kartoteki fotograficznej inż. arch. Alfreda Mensenbacha, hitlerowca, który należał do specjalnych „oddziałów niszczycielskich”, działających w Warszawie po ewakuacji miasta, od października 44 r. do stycznia 45 r. Fotografie są pedantycznie ponumerowane i opatrzone własnoręcznymi objaśnieniami Mensenbacha. Są one jednym z nielicznych dokumentów fotograficznych barbarzyńskiego i metodycznego niszczenia Warszawy po powstaniu.

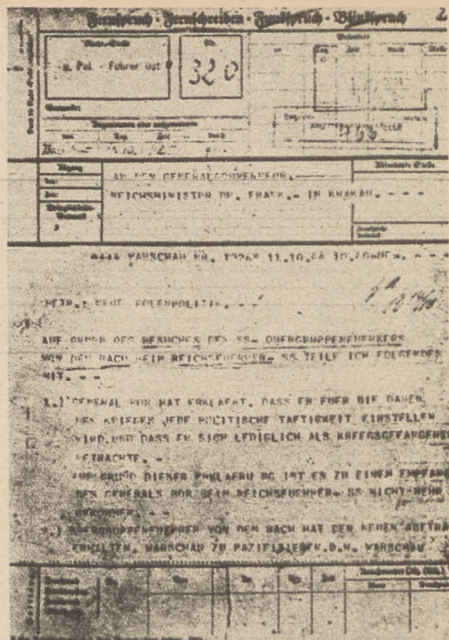
łą, kształtującą wydarzenia historii. Lud warszawski ujął wtedy w swe spracowane ręce obronę Ojczyzny, zaprzędną w niewolę przez hetmanów, książąt i magnatów. Mieli oni jeszcze w oczach widmo szubienic, które wzniesiono na Krakowskim Przedmieściu i na Starym Mieście z napisem: „Kara na zdrajców Ojczyzny”. Zawisli na nich zdrajcy — hetmani Zabieło i Ożarowski, marszałek Ankwicz i biskup Kosakowski — targowiczanie.

Z tą rewolucyjną Warszawą, gdzie lud wystąpił jako aktywna siła historii, „nie mógł dojść do ładu” żaden zaborca i tyran, tę właśnie Warszawę radził przewrotny Lucchesini zrównać z ziemią, bo „zawsze będzie ośrodkiem polskich aspiracji politycznych”.

ZAMIARY FUHRERA

Minęło niemal 150 lat. Nadszedł wrzesień 1939 roku. Po bohaterskiej walce Warszawa dostaje się w ręce hitlerowców. I oto Hitler, układając plan wykreślenia narodu polskiego z historii Europy, nie wiedząc o tym, że podejmuje myśl pruskiego agenta i szpiega sprzed półtora wieku, postanawia wykreślić Warszawę z rzędu miast i zrównać ją z ziemią, gdyż wie, że inaczej „nigdy z Polakami nie dojdzie do ładu”.

W jednym z podstawowych dokumentów procesu norymberskiego w tzw. „Dzienniku Franka” pod datą 4 października 1939 r. znajdujemy następującą notatkę:



Pierwsza strona depeszy Hitlera do Franka z rozkazem zburzenia Warszawy.

„Führer omówił z Generalnym Gubernatorem ogólną sytuację i zaaprobował jego prace w Polsce, a w szczególności zburzenie Zamku w Warszawie, nie odbudowywanie tego miasta oraz wywóz dzieł sztuki...”

Zwróćmy uwagę na datę. Jest 4 października 1939 r. Zaledwie kilka dni minęło od kapitulacji ciężko zniszczonej barbarzyńskim bombardowaniem Warszawy. Nie ustalono jeszcze nawet ściśle władzy Generalnego Gubernatora, nie rozstrzygnięto jeszcze podziału kompetencji między zarządem wojskowym okupowanej Polski a administracją cywilną. Ale co do jednego poglądy są zgodne i ustalone: Warszawy nie będzie się odbudowywać, stolicę należy ograbić z jej skarbów kultury i sztuki, a Zamek Królewski, spalony już we wrześniu, zniszczyć. (Inne dokumenty mówią, że Hitler uważał zniszczenie Zamku Warszawskiego za symbol złamania na zawsze samodzielnej państwowości polskiej. Ten maniacki i barbarzyński pomysł, zrealizowany zresztą całkowicie, stanowiłby tragiczny i ciekawy epizod, gdyby nie fakt, że wkrótce już plany zniszczenia objęły nie tylko Zamek, a całą Warszawę).

W tymże Dzienniku Franka pod datą 12 lipca 1940 r. zamiary Führera wobec Warszawy sformułowane są jeszcze jaśniej:

„Jeżeli chodzi o Warszawę, Führer postanowił, że odbudowa jej jako polskiej metropolii nie będzie w żadnym wypadku brana w rachubę. Führer życzy sobie, ażeby w związku z ogólnym rozwojem sytuacji Warszawa spadła do rzędu miasta prowincjonalnego”.

ZAKAZ ODBUDOWY

Z późniejszych przemówień Franka, jak zresztą z całej polityki okupanta, wynikało jasno, że owa Warszawa, sprowadzona do rzędu miasta prowincjonalnego, miała stać się miastem niemieckim.

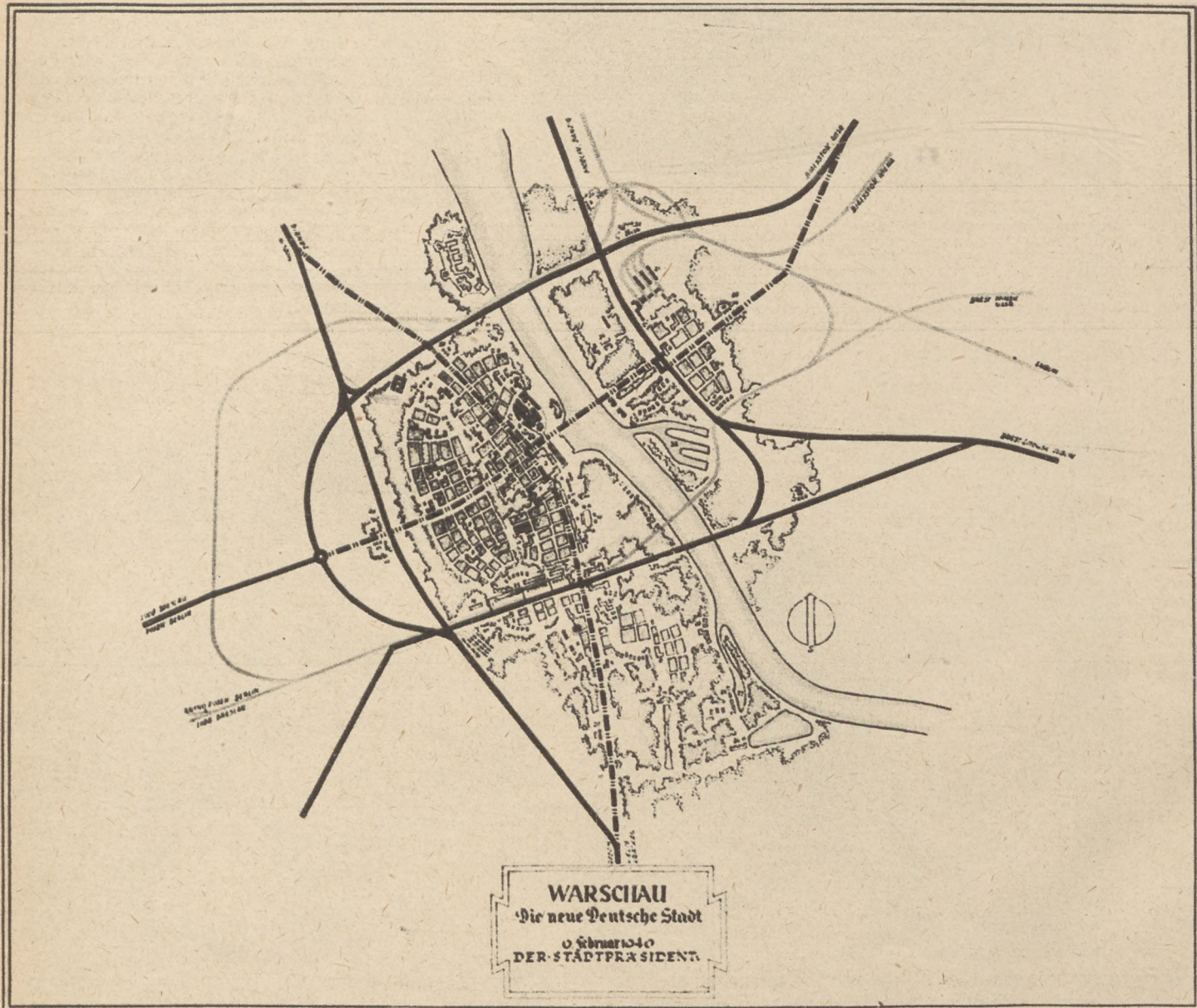
Niezmiernie charakterystyczny i cenny jest wreszcie dokument norymberski, dotychczas jeszcze w Polsce nie opublikowany. Został on zarejestrowany w aktach Trybunału Norymberskiego pod numerem EC-411 i nosi nagłówek:

„Zarządzenie Hessa, zastępcy Führera, z dnia 11 listopada 1939 roku”:

„Dowiaduję się od członków partii, przybywających z Generalnej Gubernii, że niektóre urzędy, jak np. Sztab Gospodarki Wojennej, Ministerstwo Pracy itd. projektują odbudowanie pewnych zakładów przemysłowych w Warszawie. Jednakże zgodnie z postanowieniem Ministra dr Franka, zaaprobowanym przez Führera, Warszawa nie będzie odbudowana, nie jest też zamiarem Führera odbudowywać czy odtwarzać jakiegokolwiek przemysłu w Generalnej Gubernii”.

Tutaj nie chodzi już o luźną notatkę czy o niesprecyzowane bliżej pogrozki upojonych zwycięstwem hitlerowców pod adresem stolicy pokonanego państwa. To jest wyraźne i obowiązujące zarządzenie Hitlera.

Hitlerowcy wiedzieli dobrze, że silny przemysł jest dźwignią rozwoju i siłą krajów i miast, że przemysł jest bazą



Plan Pabsta zatytułowany: „Warschau. Die neue deutsche Stadt”. Obszar „Warschau” według tego planu wynosi zaledwie dwudziestą część obszaru Warszawy z r. 1939. Ludność „niemieckiego miasta Warschau” obliczana jest na około 100.000 osób.



Polen
Warschau
Sprengmeister Krause

Sprengmeister Krause.

dla wzrostu i konsolidacji sił klasy robotniczej. A faszyzm znał siłę proletariatu. Wiedział, że to jego najgroźniejszy, nieubłagany wróg. Wiedział wreszcie, że masy robotnicze stanowią będą najaktywniejszy, najgroźniejszy trzon narodowego ruchu oporu przeciw okupantom.

Dlatego już w pierwszych tygodniach okupacji wydany zostaje zakaz odbudowy Warszawy, a w szczególności warszawskiego przemysłu, i podporządkować mu się muszą nawet instytucje wojskowe.

PLAN PABSTA

„Zyczenie Führera“, by Warszawę sprowadzić do rzędu miast prowincjonalnych, nie pozostało bynajmniej mglistym marzeniem. Przeobraziło się ono w konkretny plan, opracowany przez „służbnych hitlerowskich „urbanistów“. Po błyskawicznej ofensywie wojsk radzieckich w ręce naszych władz dostał się, odnaleziony w gabinecie Franka na Wawelu, tzw. Plan Pabsta. Tekę zawierającą kilkanaście planów i plansz opatrzona była następującą dedykacją:

„Praca ta została wykonana przez planistów miasta Würzburga, którym Führer wyraził 20 czerwca 1939 roku uznanie za opracowany przez nich plan miasta Würzburga. Dziękuję moim współpracownikom za ich dzieło i składam je w ręce Generalnego Gubernatora okupowanych terenów polskich, Ministra Rzeszy (towarzysza partyjnego) dr Franka.

Prezydent Miasta
Dr Dengel

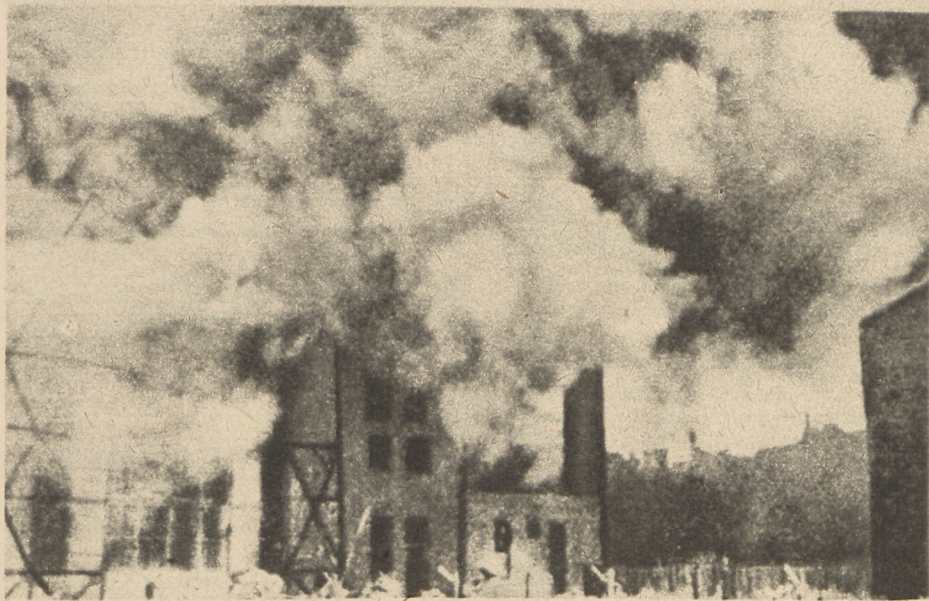
Warszawa, 6 lutego 1940 r.

Tablica nr 10 zawiera właściwy Plan Pabsta, zatytułowany: „Warschau. Die neue deutsche Stadt“ — dwie inne plany — to fotografie makiety tego nowego niemieckiego miasta „Warschau“.

Plan Pabsta jest przerażający. Obszar „Warschau“ wynosi dwudziestą część obszaru Warszawy z roku 1939. Ludność obliczona jest na około 100.000 osób. Tablica 13 szczegółowo omawia etapy, w jakich poszczególne dzielnice Warszawy mają być zniszczone i rozebrane.

W układzie „niemieckiego miasta Warschau“ próżno by szukać śladów naszej Warszawy. Nie ma odwiecznych starych ciągów komunikacyjnych, ulic i placów, nic nie pozostało z typowych warszawskich założeń urbanistycznych, nie ocalał ani jeden z zabytkowych gmachów i pałaców Warszawy, z wyjątkiem Belwederu, który miał stanowić rezydencję Führera, a w jego nieobecności — Franka. Pobudowane zostaje natomiast dziwaczne, szpetne miasteczko, poprzecinane na krzyż olbrzymimi pasmami autostrad tranzytowych. Na terenach Powiśla, u podnóża Osi Stanisławowskiej plan przewidywał zbudowanie czegoś pośredniego między warownym obozem a koszarą dla SS. Plan komunikacji kolejowej i drogowej wyjaśniają nam, że Warszawa miała się stać ośrodkiem tranzytowego ruchu z Rzeszy „nach Osten“. Warszawa miała więc być punktem etapowym i bazą wy-

Polen
Warschau
Plan 9 an der Ploche



Pożar przy ul. Płockiej.

LAND: Polen
GAU:
ORT: Warschau
Auftrag: Aufstellung eines Sprengkommandos

Hauptmann



Wydawanie rozkazów jednostce niszczycielskiej.

padową hitlerowskiej agresji na wschód, warunków hitlerowskiego „porządku“ w podbitej Europie.

Ze sprawą zniszczenia Warszawy łączy się jak najściślej sprawa zagłady warszawskiego getta. Fakty związane ze zniszczeniem getta — są powszechnie znane. Jeden wszakże dokument rzuca na zagładę getta nowe światło. Jest nim tajny rozkaz Himmlera z dnia 16 lutego 1943 r., którego końcowy fragment brzmi następująco:

„...Polecam przedłożyć mi całkowity plan zburzenia getta. W każdym razie pomieszczenie dla 500.000 podludzi (Untermenschen), które i tak nie nadawałoby się nigdy dla Niemców, musi zniknąć z powierzchni ziemi, a milionowe miasto Warszawa, trwałe i niebezpieczne ognisko rozkładu i buntu, musi być zmniejszone w swoim obszarze.

H. Himmler“.

Dokument ten był dotychczas cytowany i rozpatrywany jako jedno ze świadectw największej zbrodni ludobójczej hitlerizmu — eksterminacji milionów Żydów europejskich. Ale jego uważne odczytanie dowodzi, że jest on bardzo istotnym dokumentem w spisku przeciw Warszawie. Himmler ani na chwilę nie zapomina, że chodzi tu o Warszawę, „trwałe ognisko rozkładu i buntu“, i traktuje zniszczenie getta także jako jeden z etapów na drodze do zniszczenia Warszawy. Równocześnie ze zda-

Mimo olbrzymich zniszczeń pędzi walk ulicznych, w chwili okupacji Warszawy ocalały jeszcze duże miasta. I wtedy właśnie wydał przez Hitlera rozkaz, który mianoł być zrealizować z dawną siłą, nowy plan zagłady naszej stolicy. Gruppenführer von dem Bach — w wyniku którego Warszawa spacyfikować, to znaczy jeszcze wojny zrównać z ziemią...“

Rozkaz ten został ze zbrodniczą błędną precyzją wykonany przez ciałne oddziały niszczycielskie, kierował fachowy sztab wojskowy.

Badania hitlerowskich geodetów przeprowadzone przez prokuratorów polskich w Norymberdze, i szereg cesów przestępców wojennych, dowiodły szczegółowo wykonania tej zbrodni konanej na opustoszałym, bezmiennym, z którego w ciągu kilkunastu tygodni ponad milion ludzi — dobrze znamy i pamiętamy — wiska podpalaczy i burzycieli. Wy. Bach, Guderian, Reinhardt, farth nie tylko uszli karze, ale w amerykańskich okupantach, którzy odmówili przyznania zbrodniarzy władzom, motywując odmowę tym, że są im niezbędni, ci specjaliści zniszczenia miast, ludobójcom, którzy z rozkazem Hitlera szły naprzeciwko Radzieckiej, na Polskę, na nasz zachód, na Warszawę. Tym, którzy według hitlerowskich wojsk pracują dzisiaj i realizują plan zniszczenia i starcia z powierzchnią miast Korei Północnej. Amerykański imperializm zawarł sojusz i współpracę z ludźmi, którzy Warszawę cili w ruiny i zgłiszczą. O tym, że dobrze pamiętać w Warszawie, ku podziwowi całego świata, kilku lat dokonała dzieła odbudowy, bliczonego na pokolenia.

Niezwykle są czasem zbieżność mowa dat.

6 lutego 1940 roku przesłany Frankowi plan „Nowego niemieckiego miasta Warschau“ — plan równy z wyrokiem śmierci na naszą Warszawę.

6 lutego 1950 roku, dokładnie lat później, w pawilonach Biura Stycznego Warszawy na Ujazdowie, była się całodzienna konferencja, której urbariści i architekci W referowali Towarzyszowi Biur członkom Biura Politycznego KC i Prezydium Rządu szczegółowy letniego Planu Odbudowy i Przebudowy Warszawy. Plan ten, oparty na nych referatu Prezydenta, otwiera historię Warszawy okresu rozwoju, kwitu, o jakim w murach naszej sta nie marzył nigdy największy sta. Otwiera okres budowy W Socjalistycznej.

nia o „pomieszczeniu dla 500.000 podludzi, które i tak nie nadawałoby się nigdy dla Niemców“, wynika jasno, że Warszawa miała stać się w przyszłości miastem niemieckim, przeznaczonym tylko dla niemieckiej ludności.

ZRÓWNAĆ Z ZIEMIĄ

Ostatni wreszcie z tragicznych etapów zniszczenia Warszawy, to powstanie warszawskie i akcja niszczycielska po powstaniu. Nie będziemy się tu zajmować genezą i podłożem politycznym powstania, wyjaśnionymi już dzisiaj w sposób tragicznie jasny i wyrazisty. Zeszłoroczny proces Tatara i współoskarżonych ujawnił dalsze kulisy tej monstrualnej prowokacji, w której londyńscy panowie dla swoich klikowych celów wykorzystali w cyniczny sposób patriotyczny, bohaterki poryw war-



LAND: Polen
GAU:
ORT: Warschau
Auftrag: Aufstellung eines Sprengkommandos

Wysadzenie Zamku Królewskiego nad Wisłą.

DRZWI PANCERNE „B”

JERZY LUTOWSKI

Przez pancerne korytarze wojennego okrętu przemyka się pochylony nisko człowiek; odziany jest w mundur niemieckiego marynarza. W ręce trzyma olbrzymie łożyce. Biegnie, śpieszy się, może nie zdążyć.

Z zewnątrz, przytłumione grubością pancernych ścian okrętu, dolatują odgłosy artyleryjskiej kanonady.

Marynarz dociera do turbinowni. Rozgląda się. Potężne turbiny okręcone są przewodnikami, co parę metrów leży ciężki ładunek trotylu. Człowiek z nożycami szybko pochyla się nad niebezpiecznym drutem i przecina go jednym krótkim ruchem. Przesuwa się dalej, znów ujmując w rękę drut i unosi nożycę...

Po porcie gdyńskim niesie się głuchy grzmot artyleryjskiej kanonady. Górą lecą w szyku bojowym ciężkie bombowce. Obiektów przez chwilę zatrzymuje się na dużych, pięcioramien-nych gwiazdach, czerwieniących na kadłubach samolotów. Warkot motorów przechodzi w wycie; bombowce pikują. Z jednostajnym dudnieniem kanonady zespala się detonacje wybuchających bomb.

Kadłub olbrzymiego okrętu ciemnieje złowieszczą bryłą u wejścia do portu gdyńskiego. Na pokładzie grubą warstwą leży śnieg. Obiektów obejmują czerniejący na dziobie olbrzymi napis „Gneisenau”. Przy burcie pancernika kołysze się motorówka.

Na redzie, za snującymi się nad powierzchnią morza wstęgami dymów — mającą sylwetki wojennej floty Trzeciej Rzeszy. Kominy okrętów dymią.

Nad tym całym obrazem mroźnego, zimowego dnia przelewa się nieustający grzmot kanonady, nabrzmiewający silniejszymi akcentami wybuchających bomb. Wycie samolotów narasta.

Wnętrze okrętu

Marynarz jeszcze raz przecina okrywającą turbiny przewodnik. Teraz szybko kieruje się w stronę ciężkich stalowych drzwi, na których widnieje gotycka litera „B”. Ciągnie je do siebie. Drzwi powoli ustępują. Marynarz przekracza wysoki próg. Jest we wnętrzu kotłowni. Podbiega do kotłów; podobnie jak turbiny — okręcone są one przewodnikami elektrycznym, połączonym z ładunkami materiału wybuchowego. Człowiek pochyla się i znowu, podobnie jak w turbinowni, przecina druty.

Obiektów przeskakuje na stalowe drzwi, które, niczym nie podparte, powoli i nieuchronnie zamykają się.

Na odgłos zatraskujących się drzwi, marynarz gwałtownie odwraca głowę. Porzuca swe zajęcie i jednym skokiem znajduje się przy drzwiach. Dłoń jego szuka zastępującej klamkę śruby. Nie znajduje jej — powierzchnia drzwi jest gładka, a w miejscu, gdzie powinna być śruba — sterczy tylko ulamany kikut gwintu. Twarz zamkniętego w kotłowni człowieka wykrzywia przerażenie. Całym ciałem rzuca się na drzwi. Nie ustępują...

Kanonada wciąż się nasila. Po mostku kapitańskim jednego ze stojących na redzie okrętów krąży nerwowo Horst Boering, były kapitan „Gneisenau”. Obok stoi Helmuth von Hassen, były II oficer „Gneisenau”; patrzy przez lornetkę poławą. W szklach lornety rysuje się „Gneisenau” z uczeploną u jego boku motorówką.

BOERING: (zatrzymuje się i zwraca do von Hassena) No i co?

HASSEN: (nie odrywa oczu od szkieł) Tak, ale bardzo powoli.

BOERING: Jednak więc będziemy musieli mu pomóc. Ten osioł jeszcze nie wylazł?

HASSEN: Nie!

BOERING: Bydlę! Miał tylko sprawdzić, czy ładunki i przewodniki są w porządku.

HASSEN: Bosman Hubner czeka w motorówce. Gdy tylko Schmidt wyjdzie — naciśnie wyłącznik.

BOERING: (kończy)... i z naszej pięknej turbinowni zostanie kupa żelastwa! (wzdycha) To był okręt! (znowu nerwowo) Jeszcze nie wylazł?

HASSEN: Nie!

Opowieść filmowa „Drzwi pancerne „B” — której fragment dziś drukujemy — osnuta jest na tle dziejów hitlerowskiego pancernika „Gneisenau” od chwili jego powstania aż po dzień, gdy wydarty morzu przez polskich ratowników wędruje jako złom do śląskich hut. Akcja scenariusza rozgrywa się w latach 1950—51, to jest w okresie wydobywania wraku, jednakże sceny retrospektywne ukazują całą historię pancernika od jego korsarskich napadów na konwoje, poprzez ucieczkę z zablokowanego Brestu aż do chwili zatopienia okrętu u wejścia do portu gdyńskiego. Prawie wszystkie zdarzenia, o których mowa w scenariuszu — to fakty autentyczne. Prawdziwe są także postacie wszystkich bohaterów, którzy w tej opowieści występują. Zostały tylko zmienione ich nazwiska.

W górę rozlega się warkot. Nową falą nadlatują bombowce. W zimnym blasku słońca srebrzą się ich skrzydła znaczone czerwonymi gwiazdami.

Boering i Hassen kulą się na mostku. Z dołu, z leżącego niżej mostka pokładu, zaczynają płuć ogniem działka przeciwlotnicze i gęstym terkotem odzywają się karabiny maszynowe. Przykucnięty dotychczas przy pancernej ścianie mostku Boering przysuwa się nisko do Hassena i drze się w jego ucho, starając się przekrzyczeć wycie samolotu i kanonadę.

BOERING: Nie możemy czekać! To szaleństwo! Wydać rozkaz sygnaliście! Niech przekaże Hubnerowi: „wysadzać”!

HASSEN: Panie kapitanie! Na okręcie jest Schmidt!

BOERING: (z wściekłością) Teraz, głupcze, chce pan oszczędzać jednego Schmidta? Rzesza ginie, głupcze! Wysadzać!

HASSEN (podaje przez megafon sygnaliście rozkaz): Przekazać Hubnerowi: „wysadzać”!

Obiektów spoczywa na sygnaliście, który wymachuje w stronę motorówki chorągiewkami. Kończy sygnalizować i w tej chwili chwytła się za brzuch; wali się twarzą na pokład. O stalowe części okrętu dzwonią gęstym deszczem kule lotniczych cekaemów.

Skulony Hassen patrzy przez lornetkę. W jej szklach widać odbijającą od burty „Gneisenau” motorówkę. Przez chwilę łódź płynie. W odległości kilkudziesięciu metrów od pancernika zatrzymuje się. Siedzący w niej bosman Hubner naciska wyłącznik zapalający. Jeszcze raz. Jeszcze raz.

Po kilku bezowocnych próbach Hubner zrywa się z miejsca i macha w stronę okrętu rękami.

HASSEN: (odejmuje lornetkę od oczu. Jest blady) Panie kapitanie. Panie kapitanie! Nie ma detonacji. Hubner daje znać, że nie może wysadzić turbinowni! (znów spogląda w lornetkę i mówi głuchym głosem) Już nie daje znać...

W szklach lornetki widać postać bosmana na pokładzie motorówki leżącą bezwładnie. W górę oddala się znak łodzi radzieckiej myśliwiec.

Wnętrze okrętu

Marynarz (jest nim pirotechnik Schmidt) bije rękami w nieruchome drzwi. Odbiegł od nich i nerwowo szuka wyjścia z kotłowni. Nie znajduje. Znów rzuca się na drzwi. Drzwi wciąż nie ustępują. Obiektów zatrzymuje się na oznaczającej je gotyckiej literze „B”, o którą z beznadziejną wściekłością bije pięść zamkniętego w kotłowni człowieka.

Mostek kapitański

BOERING: (krzyczy, nachylony do ucha Hassena) Obsługa wyrzutni torpedowych na miejsca!

HASSEN: (powtarza w mikrofon) Obsługa wyrzutni torpedowych na miejsca!

BOERING: (j. w.) Salwą sześciu torped w „Gneisenau”!

HASSEN: (j. w.) Salwą sześciu torped w „Gneisenau”!

BOERING: (j. w.) Torpedo los!

HASSEN: (j. w.) Torpedo los!

Powierzchnię morza bruzdzi sześć torped, sunących ku burcie „Gneisenau”. Jedna z nich przemyka tuż obok kołysanej bezwładnie przez fale motorówki, z której zwiesza się ciało Hubnera.

Torpedy są coraz bliżej celu.

Nagle rozlega się odgłos potężnej detonacji. „Gneisenau” drgnął. Powoli zaczyna się pogrążać w fale. Nad kolosem unoszą się kłęby dymu.

Wybuchy bomb i detonacje artyleryjskie osiągają wtórne nasilenie.

Gęsty dym zakrywa wszystko: morze, hitlerowską flotę i tonący „Gneisenau”.

Dno morskie

Wzdłuż pokrytego wodorostami kadłuba wraku wędruje nurek w skafandrze. W ręce trzyma lampę. Jego ciężkie buty wzbijają z dna obłoczki mułu. Co parę kroków nurek zatrzymuje się i unosząc w górę lampę bada ściany okrętu. Nagle klęka. Zza szybki helmu nurkowego widać jego twarz — to Sadowiec, świecąc sobie lampą, ogląda coś z widocznym zainteresowaniem.

Obiektów posuwa się wzdłuż ściany zatopionego okrętu i po długiej chwili napotyka na innego nurka. Zza szybki helmu widać twarz Wiśniowskiego. Idzie bardzo wolno. Przystaje. Unosi w górę lampę. Przed nim zieleń w ścianie okrętu olbrzymia wyrwa. Nurek ostrożnie się w nią zagłębia. Z jego helmu ulatują banieczki powietrza. Wzbijają się w górę, ku powierzchni morza.

Powierzchnia morza

Sunące po niej fale rozbijają się o wystającą nad wodą burtę „Gneisenau”. Jedna z nich wpadła na pokład i przez otwór po dawnej wieży artyleryjskiej — wlewa się w głąb wraku. Za ciemnozieloną tonią zatopionego wnętrza okrętu majaczą drzwi z czerniejącą na nich gotycką literą „B”.

Dziennik okrętowy

„21 maja 1950 r. Prace przy uszczelnianiu kingstonów posuwają się naprzód. Stan załogi zmalał dziś o jednego nurka. Józefa Bończę. Praktycznie nie brał on udziału w robotach od chwili rozpoczęcia prac przy „Gneisenau”, jednak oficjalnie dopiero dzisiaj skreślony został z listy załogi i decyzją Kierownictwa Polskiego Ratownictwa Okrętowego — przeniesiony do innej grupy nurkowej”.

Podrzędna restauracja portowa

Senny kelner krąży wśród stolików, na których leżą brudne obrusy upstrzone plamami po rozlanym piwie. Przy jednym z takich stolików siedzi Bończa. Jest pijany. Naprzeciw niego Kubło.

BOŃCZA: (mówi z pijackim uporem): Nic mnie to nie obchodzi: Nic, a nic!

KUBŁO: A ja ciebie szukałem, bom myślał...

BOŃCZA: Indyk też myślał i... co mu zrobił? (wybuchając pijackim śmiechem). No, co mu zrobił, kuchtó? (nagle poważnie i zaciska zęby) A mnie dobrze i na innej robocie. Pogłębiarkę wydobywamy rozumiesz? Pogłębiarkę... Taką dużą pogłębiarkę!

KUBŁO: Józek! Do takiej roboty się wzięłeś! Ty? Najlepszy nurek?

BOŃCZA: (wali pięścią w stół) Nie jestem już najlepszym nurkiem! Z wody mnie raz wyrzuciło! Nibyś to mi sam nie wypominał...

KUBŁO: Z głupoty! Dlatego właśnie...

BOŃCZA: Stul pysk! Sadowiec jest najlepszy! Ot co! Sadowiec! Ten głupek, ta fujara, rozumiesz? Sadowiec! Niech on tam sobie... A ja... tego...

KUBŁO: Zazdrość przez ciebie gada!

BOŃCZA: (zrywa się od stołu — w zmętniałych oczach ma wściekłość) Zazdrość? Ja ci dam zazdrość! Won, kuchtó, do kambuza! Niech cię na mnie nie nasylają! Nie wróć i już!

KUBŁO: Nikt mnie nie nasylał...

BOŃCZA: (krzyczy) Łżesz! Ja dobrze wiem! Chęć żebym wrócił! Ale (składa palce w figę) to, widzisz? To! Won, bo jak cię...

Kubło pośpiesznie wstaje i idzie ku drzwiom. Bończa chwycił się na nogach. Patrzy za nim. Odwraca głowę. Śląda.

KUBŁO: (w drzwiach zatrzymuje się i woła) Nurek od pogłębiarki! (szybko wyskakuje z restauracji, zatraskując za sobą drzwi).

Bończa ponownie zrywa się od stołu. Zatacza się. Siada i ponuro spogląda w kieliszek.

Dziennik okrętowy

„3 czerwiec 1950 r. Dwa zawory denne zostały już uszczelnione. Równolegle z pracami przy kingstonach nurek Sadowiec bada wnętrze wraku”.

Zatopiona hala maszyn „Gneisenau”

Sadowiec mijając potężne turbiny, pokryte grubą warstwą szlamu i muszel. Spod nóg nurka umyka spłoszony węgorz. Stalowa podłoga ziele olbrzymimi wyrwami.

Nagle nurek zatrzymuje się i unosi ostrożnie w górę zwieszający się z pierwszej turbiny przewodnik elektryczny. Szczegółowo ogląda połączony z nim ładunek trotylu.

Znowu rusza naprzód, posuwając się już teraz wzdłuż drutu. Wszystkie turbiny okręcone są podobnymi przewodami. Po kilku krokach Sadowiec znowu przystaje. Obiektów kieruje się na drut, który nurek trzyma w ręce. Koniec przewodu zwiewa wolno: Drut jest ucięty.

Pokład „Smoka”

Przy rozgłośni telefonicznej stoi Ronc ze Stefańskim.

STEFAŃSKI: (do telefonu) Zapytajcie Wiśniowskiego jak mu idzie?

TELEFONISTA: (w mikrofon) Halo Stefan! Stefan!

GŁOS WIŚNIEWSKIEGO: (śpiewa fałszywie) „Na lewo most, na prawo most...”

TELEFONISTA: Stefan! Gadaj po ludzku!

GŁOS WIŚNIEWSKIEGO: „...a polem Wisła...” Betonujemy z Raczymem prawą stronę kingstonu (kończy) „...płynię...”

RONC: A co z Kunickim?

TELEFONISTA: Tną z Wiklasem ten przekłety pokład! Przed chwilą meldowali. Jakoś idzie...

RONC: (do Stefańskiego) Tragedia z tym pokładem!

STEFAŃSKI: Pech! Nie braliśmy pod uwagę piętnastomilimetrowej grubości płyt pancernych.

RONC: (nieco dotknięty) Ja wszystko brałem pod uwagę, ale nie mogłem chyba przewidzieć, że wyrwa sięga aż tak głęboko.

STEFAŃSKI: Fakt jest faktem! Paskudna historia! (pogodnie) Ale moja stara zawsze mówi „jak coś trudno idzie na początku, to potem leci, że hej”.

RONC: (wzrusza lekko ramionami i zwraca się do telefonisty) Wołajcie Sadowca!

TELEFONISTA: Halo Bronek! Halo! Słyszcie mnie?

GŁOS SADOWCA: Słyszę, jestem w turbinowni. Maszyny okręcone są przewodami elektrycznymi. Każdy drut łączy kilkanaście ładunków materiału wybuchowego.

RONC: (zbliża się do rozgłośni i sam mówi w mikrofon) Uważajcie! Z trotylem nigdy nic nie wiadomo!

GŁOS SADOWCA: Kapitan Ronc, tak? Zrobiłem ciekawe odkrycie.

RONC: Jakież?

GŁOS SADOWCA: Muszę to jeszcze dokładnie sprawdzić nim opowiem. Idę dalej.

RONC: Dobrze (oddaje telefonięce mikrofon i spogląda na zegarek). Dzie się po jedenastej. Za niecałą godzinę obiad.

STEFAŃSKI: A potem zebranie założę. Zostanie pan na nim?

RONC: (obojętnie) No cóż? Zostanę!

Wnętrze zatopionej hali maszyn

Sadowiec mija właśnie ostatnią turbinę i zbliża się do stalowych drzwi, na których widnieje wielka gotycka litera „B”.

Nurek waha się przez chwilę, a potem całym ciałem napiera na drzwi. Nie ustępuje. Nurek obiera inną taktikę: ciągnie teraz drzwi ku sobie za śrubę, zastępującą w nich kłamekę. Drzwi powoli i zdawałoby się zupełnie lekko — otwierają się.

Obiektów spoczywa na ostrym zadziornie blachy stalowej, sterczącym tuż obok ramy drzwi. Biegający od helmu nurka sznur telefoniczny zaczepiony jest o zadziór.

Sadowiec ostrożnie przekracza wysoki próg. Znajduje się teraz w kotłowni. Wciąż przytrzymując jedną ręką drzwi — schyla się i podpira je od wewnątrz kawałkiem podniesionej z podłogi rury stalowej.

Unosząc lampę wysoko nad głową — nurek robi pierwszy krok naprzód.

Pokład „Smoka”

Z rozgłośni telefonicznej dochodzi głos Sadowca.

GŁOS SADOWCA: Halo „Smok”! Sadowiec!

TELEFONISTA: „Smok” słucha! „Smok” słucha!

GŁOS SADOWCA: Zbadałem już turbinownię. Teraz jestem w kotłowni. Właśnie... (Głos Sadowca urywa się).

TELEFONISTA: Co „właśnie” (przez chwilę nasłuchuje). Halo Sadowiec! (z niepokojem) Sadowiec!

Obiektów spoczywa na zadziornie. Zaczepiony o jego ostry brzeg sznur telefoniczny napina się i nagle pęka. Wolne końce opadają w dół; ta część przewodu, która jest połączona z helmem nurka — powoli zaczyna się oddalać od zadzioru. Posuwając się wzdłuż tej części, obiektów dociera do postaci nurka. Sadowiec ostrożnie idzie naprzód. Mija właśnie zaparty o podłogę koniec rury. Nagle potyka się. Gwałtownie szuka ręką oparcia. Chwyta za rurę i upadając na podłogę — pociąga ją za sobą.

Pozbawione podpórki drzwi równie powoli i majestatycznie, jak przedtem się otwierały — teraz zamykają się, zaciskając przewód powietrzny, biegnący od helmu nurka.

Obiektów powraca do leżącej postaci Sadowca. Nurek podnosi się z podłogi. Nagle nieruchomieje. Nieupuszczona przy upadku lampa oświetla bielejący w ciemnościach kształt, od którego rozchodzi się słaby odblask fosforyzacji. Jest to ręka szkieletu. Palce tej ręki wciąż jeszcze kurzowo zaciskają się wokół olbrzymich zardzewiałych nożyc.

Sadowiec podnosi w górę lampę, potem cofa się gwałtownie i całym ciałem napiera na drzwi.

Ręka Ronca szybko a nerwowo postukuje o burzę.

Umieszczony na przegubie zegarek wskazuje godzinę jedenastą piętnaście.

RONC: Wołajcie dalej!

TELEFONISTA: (w mikrofon) Halo Bronek, hallo!

Cisza w rozgłośni.

TELEFONISTA: Sadowiec, odezwij się! Halo Sadowiec!

W rozgłośni nadal panuje cisza. Ronc nerwowo podbiega do telefonu. Stefański wyrwa mikrofon z rąk telefonisty.

STEFAŃSKI: Sadowiec! Odezwij się! Tu kapitan Stefański! Rozgłośnia milczy.

Po morzu płynie szybko motorówka. Stoją w niej Bończa i Toss.

TOSS: To pan już nie pracuje na „Smoku”?

BOŃCZA: Nie!

TOSS: Dlaczego?

BOŃCZA: Bo nie!

TOSS: (jakby do siebie) Z takich odpowiedzi trudno by było zrobić wywiad! (do Bończy) Więc po co pan jedzie teraz na „Smoka”? Odwiedzić kolegów?

BOŃCZA: Nie!

TOSS: No więc?

BOŃCZA: (opryskliwie) Po swoje papery!

Dziób motorówki pruje fale. Na kilkaset metrów przed nim rysuje się ciemny masyw „Gneisenau” z przycumowanym doń, jeszcze mniejszym przez porównanie z ogromem wraku — „Smokiem”.

Pokład „Smoka”

Telefonista wciąż nawołuje. „Halo Sadowiec, halo Sadowiec”!

Wokół rozgłośni zaczyna się gromadzić coraz więcej ludzi. Wszyscy milczą, przypatrując się z napięciem Roncowi i Stefańskiemu, którzy właśnie nerwowo się naradzają.

RONC: Trzeba wezwać Wiśniowskiego! Najlepszy z tamtych!

STEFAŃSKI: Pracuje na czternastu metrach! Zanim wyjdzie...

RONC: (do telefonisty) Wołać Wiśniowskiego!

TELEFONISTA: (w inny mikrofon) Halo Wiśniowski! Halo!

GŁOS WIŚNIOWSKIEGO: (śpiewa fałszywie) „Autobusy czerwienią migają, zagładają...”

RONC: (wyrzuca mikrofon z ręki telefonisty) Wiśniowski! Mówi Ronc! Natychmiast wyłazić! Sadowiec nie odpowiada!

GŁOS WIŚNIOWSKIEGO: Tak jest!

RONC: (do obsługi dźwigu) Wyciągać go!

Motorówka zbliża się już do burty „Smoka”. Toss wymachuje rękami i krzyczy: „Prasa pozdrawia marynarke”!

Zebrani na „Smoku” ludzie nawet nie odwracają się w kierunku wołającego. Słychać głucho odgłosy pracy automatycznych pomp nurkowych i skrzypienie windy.

TOSS: (do Bończy) Co tam się stało?

BOŃCZA: (wzrusza niechętnie ramionami): Licho ich wie!

Winda wciąż skrzypi.

RONC: Na ilu jest Wiśniowski?

STEFAŃSKI: Na sześciu metrach! I tyle czasu pracował pod wodą. Będzie musiał odpocząć!

BIELICKI: Może nie zdążyć!

MONKIEWICZ: (do telefonisty): Od jak dawna nie odpowiada?

TELEFONISTA: Już ze siedem minut! Halo Bronek! Halo Bronek!

RONC: (z nagłą decyzją): Dawać skafander!

STEFAŃSKI: Co? Pan?

RONC: (ostro): Skafander!

Sadowiec całym ciałem napiera na drzwi. Nie ustępuje. Zbliżenie na helm nurka. Przez szybę widać, że usta Sadowca szybko się poruszają: człowiek coś krzyczy.

Obiektów odrywa się od helmu i pełzną wzdłuż sznura telefonicznego zatrzymuje się na jego przerwany koniec.

Motorówka stoi już przy burcie „Smoka”. Toss wdrapuje się niezdarnie po drabinie na pokład; za nim przeskakuje szczeble Bończa.

Żaden ze zgromadzonych na pokładzie ludzi nie zwraca na nich uwagi. Właśnie Monkiewicz i Kubło podają Roncowi skafander.

TOSS: Co się tu dzieje?

MONKIEWICZ: (przez ramię) Sadowiec nie odpowiada!

TOSS: (gwałtownie): Wypadek?

MONKIEWICZ: (opryskliwie) Nie wiadomo! Zamknijcie się!

TOSS: Kapitan idzie po Sadowca?

MONKIEWICZ: Tak, tak! Dajcie mi wreszcie spokój!

RONC: (wsadzając nogi w kostium nurkowy) Jak wylezie Wiśniowski — niech tylko trochę odpocznie, a zaraz potem — za mną! Pięć lat już nie nurkowałem!

Stojący dotąd na uboczu Bończa przysuwa się do Monkiewicza.

BOŃCZA: (niepewnie) Dawno nie odpowiada?

MONKIEWICZ: (spogląda na Bończę i nagle chwyta go za ramię) Przecież ty...

Ronc wbija właśnie nogę w ciężki nurkowy but, gdy wyrasta przy nim postać Bończy.

BOŃCZA: Panie kapitanie... (wskazuje na siebie) Ja...

RONC: Co? ty!?

BOŃCZA: (zdecydowanie) Niech pan zdejmuje kombinezon. Ja pójdę!

RONC: Wykluczone! Nie brateś udziału w robotach! Nie masz pojęcia o wnętrzu wraku.

BOŃCZA: A pan je zna?

RONC: Sadowiec coś niecoś mi opowiadał. Jakoś go znajdzie.

BOŃCZA: Ja też go znajdzie! I prędzej! Pójdę za przewodem powietrznym. Szkoda czasu na gadanie! No, kombinezon!

Sadowiec wciąż napiera na drzwi. Widać, że słabnie. Cofa się o krok. Chwieje się na nogach. Siada... Przesuwa rękami po zaciśniętym węźle gumowym, by wycisnąć z niego choć trochę powietrza. Opiera się plecami o ścianę. Siedzi tak przez chwilę. Jeszcze raz próbuje wstać, ale brak mu już na to sił. Powoli osuwa się wzdłuż ściany na podłogę...

Bończa w skafandrze kieruje się ku otworowi pozostałemu po wieży artyleryjskiej. Obiektów zatrzymuje się na jego butach stąpających wzdłuż gumowej rury przewodu powietrznego, ginącego w głębi wraku.

Bończa zanurza się w mrok otworu. Niknie w nim. Z pokładu widać jeszcze przez chwilę wierzchołek jego helmu i ulatujące z otworów wydechowych banieczki powietrza.

Obiektów powraca do skupionych wokół rozgłośni ludzi. Milczą. Na twarzach maluje się zdenerwowanie. Wzrosty oczy zawisły na ustach kapitana Ronca, który pochyla się nad mikrofonem.

RONC: Gdzie jesteście?

GŁOS BOŃCZY: To chyba trzeci pokład pancerny. Posuwam się wzdłuż przewodu powietrznego Sadowca.

Wnętrze turbinowni

Buty Bończy wciąż trzymają się szlaku przewodu powietrznego i biegnącego z nim równolegle sznura telefonicznego Sadowca.

Bończa stąpa ostrożnie, tak jak poprzednio Sadowiec, wymijając wszystkie wyrwy i szczeliny.

Nagle zatrzymuje się i pochyla. Podnosi coś z podłogi i przybliża do szybki helmu; trzyma w ręku urwany koniec sznura telefonicznego.

Bończa przenosi wzrok na zamykające mu dalszą drogę drzwi pancerne, oznaczone gotycką literą „B”.

Pokład „Smoka”

GŁOS BOŃCZY: (z rozgłośni) Znalazłem urwany przewód telefoniczny Sadowca. Przede mną stalowe drzwi. Idę dalej.

Ronc nerwowo krąży po pokładzie. Spogląda na zegarek. Jest jedenasta dwadzieścia. Toss coś szybko notuje. Bielicki urywanym szeptem rozmawia z Monkiewiczem. W zaworach pomp syczy powietrze.

Wnętrze turbinowni

Bończa znowu pochyla się — tym razem nad zaciśniętym przewodem powietrznym Sadowca. Szybko prostuje się i chwyta zastępującą kłamekę śrubę. Ciągnie ku sobie drzwi, które powoli ustępują...

Pokład „Smoka”

RONC: (woła w mikrofon) Halo Bończa! Halo Bończa!

GŁOS BOŃCZY: Jestem! Słyszę! Dawać powietrze dla Sadowca!

RONC: Znaleźliście go?

GŁOS BOŃCZY: Powietrza!

RONC: (do stojących przy nim ludzi) Powietrza dla Sadowca! Przerzucić na pompę ręczną!

Kubło i Monkiewicz przypadają do pompy. Zaczynają pospiesznie obracać koło kompresyjne. Tłoczone powietrze syczy i dmucha. W ciszy słychać tylko skrzypienie pompy i ciężkie oddechy obsługi.

Bończa siedzi na podłodze kotłowni, trzymając na kolanach głowę Sadowca. Drzwi podparte są tą samą rurą, której przedtem używał Sadowiec.

Sadowiec powoli porusza głową. Podnosi rękę i znowu ją opuszcza.

Pokład „Smoka”

GŁOS BOŃCZY: Jeszcze powietrza! Zaczyna się ruszać!

RONC: Co się stało?

GŁOS BOŃCZY: Drzwi przygniotły mu przewód powietrzny! Pompujcie dalej!

Przy pompie zmienia się jej obsługa. Miejsce Monkiewicza i Kubły zajmuje Stefański i Toss. Zasapany dziennikarz z trudem porusza kołem kompresyjnym.

STEFAŃSKI: Równo, redaktor, równo!

TOSS: (sapie) Równo, rów-no...

Sadowiec stoi już obok Bończy. Chce zrobić krok naprzód, ale zatacza się. Bończa podpira go ramieniem. Sadowiec stukną palcem w szybkę przed twarzą Bończy i wskazuje na coś ręką. Bończa patrzy w tę stronę, unosi w górę lampę, nisko pochyla się, przez chwilę trwa w tej pozycji i wreszcie prostuje plecy. Kiwa głową, mocno obejmuje Sadowca ramieniem i rusza z nim w stronę drzwi.

Idą bardzo powoli. Przekraczają próg. Tu Bończa zatrzymuje się i wskazuje Sadowcowi urwany koniec sznura. Sadowiec podnosi sznur z podłogi; jego wzrok spoczywa na zadziornie. Pokazuje go palcem Bończy, który znów kiwa głową.

Ruszają dalej...



W CZUDCU ZAKWITŁA BAWELNA

W Czudcu, małym miasteczku położonym w dolinie podkarpaciej rzeki Wisłoki, zakwitła bawelna. Wyhodowali ją uczniowie z Liceum Ogólnokształcącego w swoim szkolnym ogrodzie. Ale zanim zakwitła...



Figi wyhodowane przez Miczurinowców na wolnym gruncie obrodziły już owocami

Prof. Władysław Woroszyński, pod którego kierownictwem pracuje uczniowski Kółko Miczurinowskie, opowiada: „W zeszłym roku otrzymaliśmy z Centralnego Instytutu Aklimatyzacji i Hodowli roślin w Warszawie nasioną bawelny. Wobec tego do programu naszych prac włączyliśmy zagadnienie zaklimatyzowania jej w naszym kraju. Studiując tym poświęciliśmy cały wolny czas w miesiącach zimowych, a na wiosnę mieliśmy już wyhodowane sadzonki.

Praca była zupełnie nowa i napotkaliśmy na wiele trudności, np. w dniach późniejszej wiosny sadzonki narażone były na zmarznięcie przez spadek temperatury do zera stopni. Wtedy to jednak zdecydowałem o pozostawieniu bawelny na wolnym gruncie, z całym zaufaniem oparłem się na nauce Miczurina o kierowaniu organizmów roślin i zasadach ich selekcji. Szło mi o to, by sadzonki, które przetrzymają chłód, zdobyły większą odporność, co w naszych warunkach klimatycznych ma duże znaczenie praktyczne. Jak bardzo krok ten okazał się słuszny, świadczy fakt, że począwszy od 6 sierpnia wszystkie krzewy bawelny zaczęły kwitnąć.

Kwiaty bawelny nie są jedynym osiągnięciem prof. Woroszyńskiego i Kółka Miczurinowców, które on prowadzi.



Przy tym krzewie prof. Woroszyński umieścił pierwszą metryczkę narodzonego na Ziemi Rzeszowskiej kwiatu bawelny

W ogrodzie Liceum można zobaczyć takie „cuda”, jak pomidor rosnący na tytoniu, lub figi wyhodowane na wolnym gruncie. Dotychczas figi można było u nas wyhodować jedynie w cieplarniach.

Młodzi Miczurinowcy zgłębiają także nowoczesną agrotechnikę w oparciu o inne doświadczenia ich mistrza. I tak na przykład dwaj uczniowie — Czesław Gajdek, przewodniczący szkolnego Koła ZMP, i Kółka Miczurinowskiego, oraz Stanisław Kocurek wystali na wiosnę 100 ziarnek pszenicy galejskiej, którą szkoła otrzymała z Miczurina w ZSRR, a zebrali 4 duże snopki. Sukces ten zachęcił innych chłopców do podejmowania podobnych doświadczeń.

Jerzy Popow, Rzeszów

ODWIEDZAMY Prof. JOLIOT-CURIE

Dołączanie ze str. 12—13

wspomnień bardziej osobistych, rodzinnych. Jego babka pamiętała rok 1815 i paryski epilog wojen napoleońskich. Jego dziadek był kucharzem Napoleona III.

— Mój ojciec — opowiada Joliot-Curie — przywiązany był do rodziców, odwiedzali go często i dobrze pamiętam z dzieciństwa opowieści dziadka o rozmowach z Napoleonem III. Dziadek uwielbiał go, babka zaś była nieugiętą republikanką. Wychowała ona mego ojca w duchu umiłowania wolności i republiki. Na pamiątkę po dziadku zachowałem dwa kieliszki ofiarowane mu przez Napoleona III po jakimś niezwykle udanym obiedzie. Ale po moim ojcu, który był bojownikiem Komuny Paryskiej, zachowałem jego karabin, karabin komunisty. W roku 1871, uciekając przed represjami, ojciec mój schronił się w Belgii, przebywał tam przez osiem lat. Przed wyjazdem z Paryża starannie opatulił karabin, i zakopał go w ogrodzie.

Pierwszą czynnością ojca po powrocie było odkopanie starej broni: znalazł ją w doskonałym stanie.

...W roku 1940, kiedy hitlerowcy zajęli Francję, ja również zakopałem karabin z czasów Komuny. Ale warstwa pakuli była widać zbyt cienka: kiedy w roku 1944 odkopałem strzelbę, kolba okazała się zupełnie zniszczona. Trochę mi wstyd, że nie umiałem jej chronić tak dobrze, jak mój ojciec...

WSPOMNIENIA Z POLSKI

Pytam profesora Joliot-Curie o Polskę. Pokazuje mi „Świat” — profesor przegląda go uważnie, a później mówi o niezapomnianych dniach Kongresu Pokoju w Warszawie: mieszkał wtedy w Belwederze, był gościem Prezydenta Bieruta, którego wspomina serdecznie i z podziwem.

Później cofamy się wstecz, do innych lat.

— Było to w roku 1938, Irena i ja wracaliśmy z Moskwy, z otwarcia katedry im. Mendelejewa. Zaproszony do Warszawy, wygłosiłem odczyt na Uniwersytecie. Kiedy skończyłem, dwaj studenci ofiarowali mi bukiet czerwonych róż, owinięty wstążkami o barwach narodowych Francji. Po powrocie do hotelu dowiedziałem się, że obaj studenci zostali aresztowani przez policję polityczną. Zadzwoniłem do ministra spraw wewnętrznych ówczesnego sanacyjnego gabinetu, w którym zasiadał osławiony Beck. Powiedziałem mu: „Możecie mnie wysiedlić z Polski, ale zapewniam was, że nie ruszę się stąd, jeżeli ci studenci nie będą zwolnieni. Przysięgam wam, że skandal, który zrobię, przewyższy wszystko, co możecie sobie wyobrazić...”. Nazajutrz studenci zostali zwolnieni. Co było z nimi później? — nie wiem...

DWOJE LUDZI...

Kończymy obiad. Jest jeszcze jedna sprawa, z którą zwracam się do profesora: czy może mi powiedzieć, jak sobie organizuje swoją ogromną pracę?

— Muszę szybko przechodzić od jednego tematu do drugiego. Zamykać na klucz jedną szufladę umysłu i natychmiast otwierać drugą. Dzięki dyscyplinie dochodzi się do tego — zapewnia mnie Joliot-Curie i uśmiecha się...

Działalność naukowa profesora Joliot-Curie jest niezwykle absorbująca. Przewodniczący Światowej Rady Pokoju, który we Francji przewodniczy dwu wielkim organizacjom społecznym: Towarzystwu Przyjaźni Francusko-Radzieckiej i Towarzystwu Przyjaźni Francusko-Polskiej, niestrudzony działacz związków zawodowych pracowników naukowych — profesor Joliot-Curie kieruje również w „College de France” pracami dwóch największych we Francji laboratoriów fizyki atomowej.

Kształci on i wspomaga radą 35 magistrów, pracujących w tych laboratoriach, a raz w tygodniu wyklada w „College de France”. Wykład trwa jedną godzinę. Przygotowania do wykładu — półtora dnia.

Myślę o tym wszystkim i jest mi trochę przykro, że zabieram mu kilka godzin tak niezbędnego i zasłużonego odpoczynku. Wychodzę pełen skruchy, zwłaszcza, że nie mogłem oprzeć się pokusie sfotografowania profesora w „pokoju rybackim”, w którym dopiero któregoś z kolei zdjęcie można było uznać za udane.

Wychodzę i już za furtką, niedostrzeżony, robię ostatnią fotografię, tę, którą znajdziecie na okładce „Świata”. W pięknym słońcu które powoli zachodzi, na tle głębokiej zieleni drzew i krzewów bretońskiego wybrzeża siedzą obok siebie Fryderyk i Irena Joliot-Curie — dwoje ludzi ożywionych wielką miłością do ludzkości walczącej o pokój i wolność narodów:

FRANCIS CREMIEUX

NA CZĘŚ KONSTYTUCJI

Robotnicy kierowali wzrok w stronę, gdzie młodzieżowa szóstka ZMP-owca Stanisława Wojdyłaka pracowała metodą radzieckiego przodownika Maksymienki, polegającej na tym, że pierwsza dwójka (murarz i podręczny) układa lice zewnętrzne muru, druga — lice wewnętrzne muru, trzecia zaś sołę, postępując za sobą taśmowo wokół muru.

Śmigają cegły w rękach młodych murarzy — Stanisława Wojdyłaka, Jana Porarskiego i Jana Zaka, a podręczni — Edward Michalski, Leonard Zieliński i Czesław Kaczmarek z olbrzymią wprawą kładą zaprawę murarską.

Pot szklę się na twarzach, ale uśmiechają się radośnie — w pierwszej godzinie ułożyli 8712 cegieł. Słońce doczeka. Koledzy zlewają ich wodą.

Po czterech godzinach postawili już 84,44 m3 muru. Teraz są pewni zwycięstwa, zobowiązali się bowiem ułożyć w ciągu 4-godzinnej dnia pracy 42,000 cegieł.

Wreszcie godzina 17. Koniec pracy. Komisja dokonuje obliczeń i ogłasza wyniki: „Robotnicy oddziału bydgoskiego WPB: Stanisław Wojdyłak, Jan Porarski, J. Zak, Edward Michalski, Leonard Zieliński i Czesław Kaczmarek w czasie 8 godzin pracy ułożyli



Po ustanowieniu rekordu. Od lewej murarz: Porarski, Wojdyłak, Zak, oraz podręczni: Kaczmarek, Michalski i Zieliński

58648 cegieł, ustawiając 146,64 m3 muru, wykonując tym samym 1027% normy. Tak dla uczczenia Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej

tej Ludowej murarze z Bydgoszczy ustanowili nowy rekord w budownictwie. Witold Ornat, Bydgoszcz Fot. W. Bajbák

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

Z REKI CZY ZE STATYWU

NIE ma człowieka, któremu, choćby w niedostrzegalnym porównaniu, nie drgnął aparat podczas robienia zdjęć z ręki. Przy dużej szybkości migawki, nieznaczne poruszenie aparatu nie wpływa jednak ujemnie na ostry obraz. Wy tłumaczenie tego jest proste: w setnych częściach sekundy, obraz „idealnego” punktu, którego średnica dla nienagannego ostrości obrazu w fotografii małoobrazkowej nie powinna przekraczać 1/30 mm, przesunie się wskutek drgania na negatywie o tak znikomą część milimetra, iż ruch ten nie odegra praktycznie żadnej roli. Im dłuższy będzie otwarty obiektyw, tym dłuższy będzie odcinek punktu zaznaczony na obrazie i zaważy przez to na jego ostrości.

Przechadzki wielu fotoamatorów na temat zrobienia ostrego zdjęcia z ręki na 1 sekundę, są tylko przechwałkami, które zamaskują łatwo duże powiększenie ich „ostrych” negatywów. Oczywiście — pewna ręka, opanowane nerwy wiele znaczą, ale kto powiększył 10-krotnie dwa negatywy, eksponowane w tych samych warunkach w czasie 1/50 sekundy jeden ze statywu, drugi z ręki, ten ma wyrobiony sąd o „pewnej ręce”. A co dopiero mówić o dłuższych czasach, jak 1/20, 1/10, czy 1/2 sekundy, aczkolwiek stosowanych z koniecznością wszędzie tam, gdzie nie mamy oparcia dla aparatu, lecz bez pretensji do „rytej ostrości”.

Teoretycznie zostało przyjęte, iż z ręki możemy fotografować przy szybkości migawki 1/25 sek. — odchylenia od tej normy mogą być znaczne, w zależności od opanowania nerwowego, pewności ręki. Opanowanie techniki trzymania aparatu i naciskania wyzwolacza migawki (jak też i opór przezeń stawiany) wiele znaczą.

Najlepiej w momencie fotografowania stanąć pewnie na nieco rozstawionych nogach, zacerpnąć oddech, lokcie przycisnąć do klatki piersiowej, aparat oprzeć mocno o wgięcie prawej dłoni koło wielkiego palca (gdy fotografujemy z wysokości oka) lub do pierś (przy lustrzankach i aparatach wyposażonych w celownik lustrzany). Palec wskazujący oprzeć należy na spustie migawki: tak, aby niewielki już nacisk mógł pokonać opór sprężyny mechanizmu. Jeśli można, opieramy się przy tym plecami o drzewo, ścianę, czy poręcz krzesła, można też przy-

kleknąć na jedno kolano. Zachowując te środki ostrożności, możemy nasświetlać z ręki nawet 1/4 sek. — wszędzie jednak, gdzie warunki pozwolą, stosując tzw. powolne czasy migawki poniżej 1/20 sek., staramy się oprzeć aparat dnem o krzesło, stół, względnie przyciskamy aparat całą powierzchnią tylną do ściany.

Solidny, drewniany statyw, dawniej nieodłączny rekwizyt fotografa, dziś spoczywa w lamusie, często niesłusznie zapomniany. Chociaż wielki, dużo miejsca zajmujący, niezbyt pasuje do miniatury kamery, nie trzeba się go wstydzic i używać wszędzie tam, gdzie ręka może nie dopisać. A szczególnie przy dzieciach „na własnym gospodarstwie”. Jako towarzyszy na wybieżki i wyprawy na łowy fotograficzne, jest zbyt wielki i niewygodny — szukamy wówczas innych przyrządów do umocowania naszego aparatu. Takimi przyrządami są: statyw metalowy składany i uchwyty metalowe.

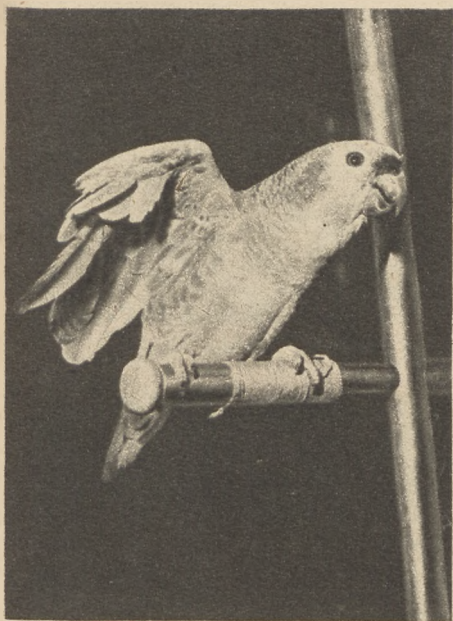
Statyw metalowy składany z rozsuwanych rur, bardzo płaski i wygodny dzięki niewielkim rozmiarom, nie daje jednak pewności unieruchomienia aparatu, zwłaszcza ciężkiego, i przy tym łatwo się psuje. Lepszy (nieestety, również i droższy) jest statyw metalowy składany, o częściach w kształcie litery „U”.

Natomiast uchwyt metalowy, na wzór imadła ślusarskiego, bardzo jest wygodny i praktyczny, gdyż jest nieduży i lekki, daje się przy tym przymocować do galezi, parapetu, stołu, krzesła, niezbyt grubych belek. Nieodłączną jego częścią, konieczną również i przy statywie, jest głowica kulowa, pozwalająca na ustalenie odpowiedniego położenia aparatu po umocowaniu samego uchwyty. Głowica kulowa, w którą z reguły wyposażone są większe statywy metalowe i przenośne imadła metalowe, pozwala na ustawienie aparatu zarówno poziomo jak i pionowo. Kupując oddzielnie głowicę kulową do statywu, czy też uchwyt posiadający już głowicę, powinniśmy uważać, aby posiadała ona możliwie długi i solidny przegub oraz mocny zacisk unieruchamiający.

A pamiętajmy, iż niedługo już nastana dla niepogody, pora sprzyjająca wykonywaniu wszelkiego rodzaju zdjęć przy świetle sztucznym, gdy statyw lub uchwyt staną się nieodzownymi narzędziami pracy fotoamatora.

SKRZYDLATA AKROBACJA

Zdjęcia: K. JAROCOWSKI



KRZYK i trzepotanie skrzydeł oznajmują nowy punkt programu. Zielono upierzona papużka złości się podniesionym głosem wyrażając swe niezadowolenie — z czego? Nie wiadomo. Tego nie chce powiedzieć zgromadzonej publiczności. Zganiona jednak milczeniem swych koleżanek uspokaja się i zgrabnie wchodzi na pręt.

Zaczynają się występy. Zespół papużek pokazuje swe umiejętności. W takt muzyki kręcą karuzele, jeżdżą na rowerze, popisują się ewolucjami na przecie. Gołąb „Czarusz” podnosząc śmiesznie łapki do góry ciągnie miniaturowy wózek. Idzie po arenie z wielką powagą i dostojeństwem, dumnie rozpościerając przepyszny ogon.

Występ ptasiego zespołu trwa kilka minut, a nauka trwała kilka lat. Bo to, co pokazują papużki i gołębie, nie każdy

ptak potrafi zrobić, nawet nie każdy gołąb i nie każda papuga. A te, co już występują, mają również swoje humory.

Zdarza się, i to nawet często, że nieposłuszna papużka podczas występu frunie wysoko, aż na maszty areny, i żadne słowa nie zdołają jej ściągnąć z powrotem. Trzeba dopiero użyć drabinki, przeznaczonej zupełnie do innych celów, i zdjąć niesfornego ptaka. A z takimi złościami jak papugi trzeba postępować bardzo delikatnie i spokojnie, bo nawet i swojego opiekuna potrafią dziobnąć lub mu nawymyślać. — Przecież papugi w cyrku nie mówią — powiecie.

Ale tu zdradzimy tajemnicę. „Kropka” uczy się mówić i w następnych sezonach usłyszymy ją w nowym repertuarze. Na razie cieszy nasze oczy akrobatycznymi ewolucjami.

A gdzie? Oczywiście w Cyrku Nr 1.





TRUDNE JEST MANEWROWANIE, GDY NA TRASIE WALCZY Z SOBĄ TAK WIELE JACHTÓW. MILIMETROWE RUCHY STEREM DECYDUJĄ...

A BŁĄD BYŁ TAK NIEWIELKI...

Zdjęcia: W. PRAŻUCH

TAKIEGO tłoku na jeziorze Kisajny na Mazurach nigdy chyba jeszcze nie widziano. Z całej Polski przybyły jachty, by rozegrać z sobą walkę o tytuł mistrza Polski w klasie H.

Przybyło ich do Giżycka 62, a na nich 186 sterników i żeglarzy. Liczba, której nigdy jeszcze na żadnych regatach w Polsce nie zanotowano.

Za pięć minut start do pierwszego wyścigu. Przed linią startową manewrują kolorowo malowane jachty. Każdy sternik chce zająć najlepszą pozycję na starcie. Tu trzeba od razu znaleźć się w czołówce, bo później trudno przebić się przez sześćdziesięciu konkurentów. W nagłych zwrotach łopocą żagle, z wody wynurzają się w przechyle obłe kadłuby. Do startu jeszcze trzy minuty... Napięcie coraz większe, milimetrowe ruchy sterem decydują. Jeszcze dwie minuty, jeszcze jedna...

Start! Zadźwięczał gong sędziowski, wszystkie jachty jak jeden położyły się na burtę i poszły...

Teraz grunt, aby nie tracić pozycji. Uważnie obserwować przeciwników, nie spuszczać jednocześnie oczu z żagla, z kursu i nadbrzeżnych drzew. Trzeba przewidzieć skąd przyjdzie wiatr, trzeba tak manewrować, żeby pierwszemu znaleźć się na linii. Tu, na wieloosobowych jachtach, rola załogi jest nie mniejsza niż sternika.

Jachty rozciągnęły się już na trasie. Pierwszy znak kursowy niedaleko. Teraz uwaga!... Przejść jak najbliżej niego, jak najszybciej, a jednocześnie nie zawadzić...

Jeden za drugim jachty mijają znak, zawracają i kładą się na inny kurs. Czołówka coraz bardziej się oddala, meta coraz bliżej. Wiatr silny, porywisty, więc cała załoga wraz ze sternikiem, wychylona za burtę, w bryzgach wody balastuje. Uwaga, teraz na finiszu każdy

falszywy ruch sterem, każdy centymetr zbyt wybrane- go żagla może zadecydować!...

Jeszcze dwieście metrów... sto... Meta tuż, tuż! W ostatniej chwili Biderman z CWKS mija Wojtasa z Ligi Morskiej i jego jacht pierwszy przechodzi linię mety. Tym razem zatriumfowała rutyna naszego najlepszego regatowca.

Idą wyścigi jeden po drugim. Walka zacięta. Prowadzi Biderman przed „mistrzem słabych wiatrów“ Sieradzkim z Ligi Morskiej i młodym, utalentowanym Szloserem z CWKS, ale różnica jest niewielka. Klasa naszych regatowców jest bardzo wysoka i wyrównana.

Wreszcie wyścig siódmy i ostatni. Ciągłe jeszcze w ogólnej punktacji prowadzi Biderman. Ze startu wychodzi na czoło i prowadzi aż do pierwszego znaku kursowego. Wydaje się, że już mu nikt nie odbierze zwycięstwa, gdy nagle...

Mała szalupka zwana bączkiem, pełniąca obowiązki boi, zdryfowała przez nagły podmuch wiatru, jest niebezpiecznie blisko jachtu Bidermana. Nagle szarpnięcie sterem, łopot żagla... Może nie dotknie...

Niestety. Lekko, zupełnie leciutko burta bączka dotyka burty jachtu. Przepisy regatowe są nieubłagane. Dotknięcie znaku kursowego jest równoznaczne z dyskwalifikacją w danym biegu. Biderman zrezygnowany macha ręką i wycofuje się z trasy, aby nie przeszkadzać innym.

Prowadzenie obejmuje Sieradzki i nie oddaje go aż do końca. Wygrywa w pięknym stylu ostatni wyścig i jednocześnie zdobywa tytuł mistrza Polski. Parę załedwie centymetrów, minimalny błąd kosztował Bidermana tytuł. Musiał się zadowolić wicemistrzostwem.



Jachty żeglują po trawie?... Nie, stoją sobie spokojnie przy brzegu. Żagle postawione, bo za chwilę już komisja regatowa da znak przygotowawczy do startu.



Jachty już się rozciągnęły na trasie. Z wysokiego brzegu tłumy widzów z uwagą obserwują i komentują żywo taktykę poszczególnych sterników na boi zwrotnej.



Wieczór w porcie. Wiatr ucichł, opuszczono żagle na barkasach. Cicho tu będzie do następnego dnia, kiedy port znów zarozi się jachtami i zaczną się dalsze wyścigi.

PANMUNDŻON – NAMIOT AMERYKAŃSKI



Najdłuższe w dziejach rokowania rozejmowe w Panmundżon przewlekane są w nieskończoność przez delegację amerykańską. Jej siedzibą jest (zdjęcie

górne) ostatni namiot na prawo. A jak wygląda wnętrze namiotu delegata amerykańskiego — widać na zdjęciu dolnym.



NOWY ZNAK DROGOWY W TRIZONII



Czołgi amerykańskie na ulicach miast zachodnio-niemieckich są zjawiskiem tak powszednim, jak samochody. Na rogach niektórych ulic, gdzie znajdują się budowle grożące zawaleniem na skutek wstrząsów wywołanych przez przejeżdżające czołgi, umieszczono więc specjalne znaki drogowe: „Dla czołgów przejazd zamknięty”.

CO DRUGI DELEGAT PIJANIUSIENKI

Dziennikarz polsko-amerykański P. P. Yolles tak opisuje na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego” i Dziennika Żołnierza z 21 lipca przebieg konwencji Partii Republikańskiej w Chicago:

„Przewodniczący nabił się reumatyzmu od walenia młotkiem, by skłonić publiczność do słuchania... Gorzej było z wybitnymi artystami, sprowadzonymi z opery nowojorskiej. Spiewali jakby ich żołądki bolały, takie mieli miny kwaśne. Nikt ich nie słuchał, gdy popisowali się ariami operowymi...”

Widzieliśmy na własne oczy, jak delegaci bili się po twarzach, jak jednego wyniesiono na noszach, taka bowiem była tu miłość ojczyzny gorąca i

bitna. Widzieliśmy przykry choć śmieszny obraz, jak to delegaci i delegatki w starszym wieku, uzbrojeni w trąbki, bębni, gwizdki i dzwonki, tańczyli jak Indianie na sali, a orkiestra przygrywała



dzikie, skoczne melodie jazzowe...

Co drugi delegat podchodził do „majka” (mikrofonu) pijaniusienki — z aparatu telewizyjnego dolatywał zapach alkoholu”.



DWA KOŃCE JEDNEJ ULICY

Piąta Avenue to jedna z najelegantszych ulic Nowego Jorku. Tu mieszczą się najpiękniejsze sklepy,

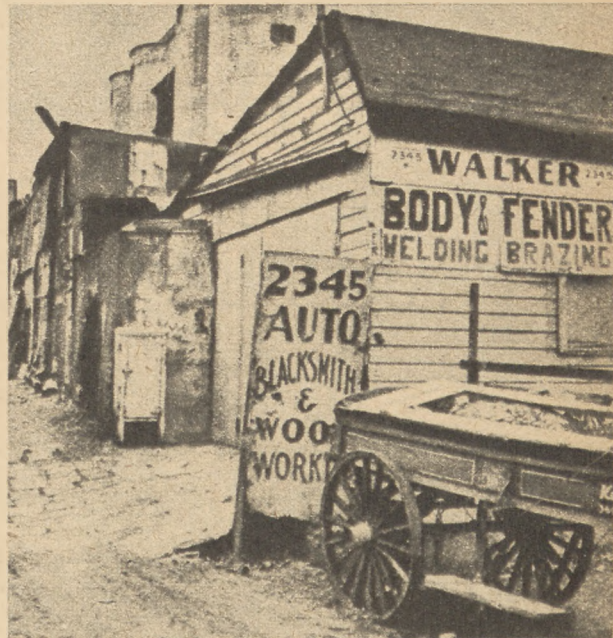
reprezentacyjne biura wielkich firm, lokale wytwornych klubów, tu znajdują się też pałacyki plu-

tokracji i wspaniałe hotele. Ale... Piąta Avenue, jak każda ulica, ma dwa końce. A północna część

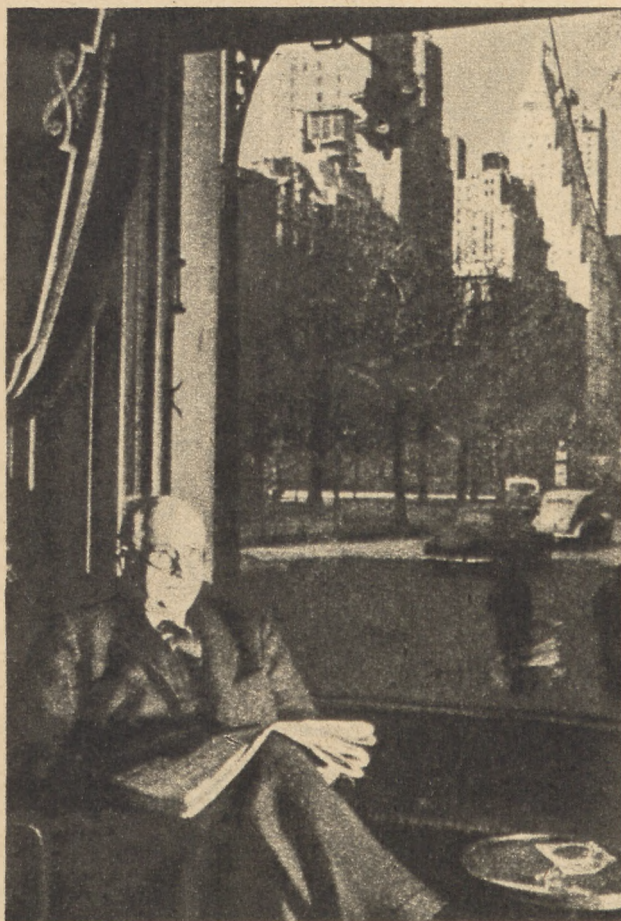
Piątej Avenue wpada do dzielnicy murzyńskiej — Harlem. Tu zaś — zresztą porównajcie zdjęcia.



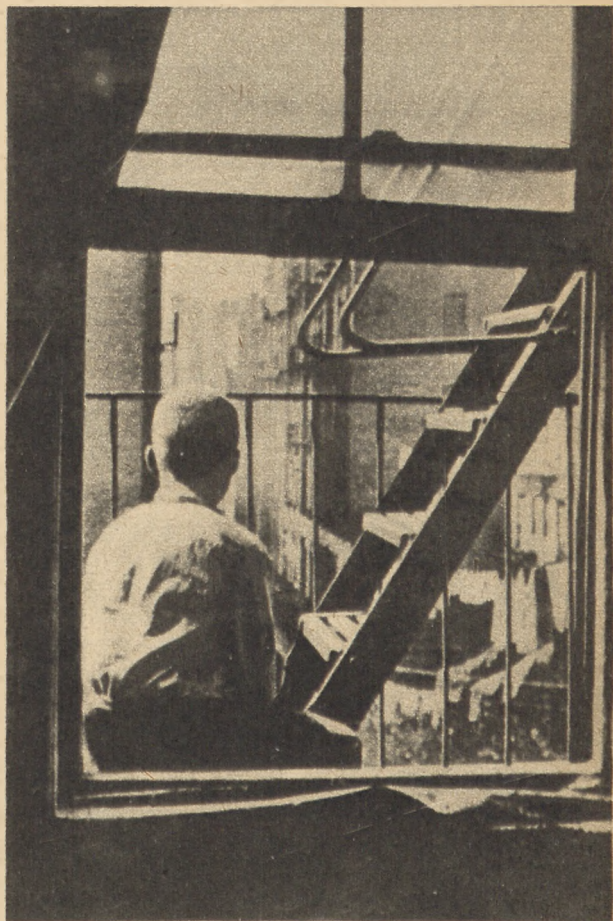
Piąta Avenue w najruchliwszym miejscu, koło Rockefeller Center



Piąta Avenue w murzyńskiej dzielnicy Harlem



Z okien eleganckiego Metropolitan Club



Z okien murzyńskiej rudery

W TYŁ GŁOWY

W miejscowości Schleissheim, pod Monachium, chłopci dokonali strasznego odkrycia: w płytkim grobie znaleziono zwłoki kilkunastu ludzi, ze śladami kul w tyle głowy. Eksperti kryminalni orzekli, że zwłoki te spoczywały w ziemi co najmniej od siedmiu lat. Ze znalezionych szczątków mundurów należy wnosić, że są to zwłoki żołnierzy i oficerów amerykańskich, francuskich lub brytyjskich, którzy znajdowali się w pobliskich obozach jeńców i zostali wymordowani przez hitlerowców strzałami w tył głowy. Słowem — kатыńska technika.



1) Wydobywanie szczątków ofiar. 2) Urzędnicy zachodnio-niemieckiej policji kryminalnej przenoszą szczątki wydobyte z grobów.

THEATR SWIAT

DYREKCJA I TEKST: J. SZELĄG DEKORACJE I KOSTIUMY: HA-GA

SKANDAL WYBORCZY

Obrazek w jednej odstonie

Rzecz dzieje się w Warszawie, a może się dzieć w każdym innym mieście lub wsi Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej we wrześniu 1952 roku.

OBYWATEL BRUNET: No i co, nie mówiłem! Wszystko przewidziałem. A jak przewidywałem, to krzychałem, że jestem reakcjonista. Może jestem reakcjonista, ale miałem rację. Po stokroć razy miałem rację. I Bibisi miało rację, i „Głos Ameryki“, i Madryt, i „Wolna Europa“, i wszyscy.

OBYWATEL BLONDYN: Ależ nie zaperzaj się tak strasznie. O co ci właściwie chodzi?

BRUNET: O te wasze „wybory“. Ja wiedziałem, ja mówiłem, że to oszustwo, że mydlenie oczu, że granda...

BLONDYN: Ale przecież jeszcze wybory się nie odbyły. Co cię więc upoważnia do wydawania takich ocen?

BRUNET: Co mnie upoważnia? Te wasze wybory już są sfalszowane, już są nieważne, już są oszukańcze. Własnych praw nie umiecie szanować. Jak naród może mieć do was zaufanie!

BLONDYN: No, że ty się tak denerwujesz, to jeszcze nie dowód, że naród... Ale może wreszcie się dowiem, jaka jest przyczyna twojego gniewu.

BRUNET: Bardzo prosta. Proszę cię, pozwól. Tu na murze masz rozklejone obwieszczenie o rozkładzie lokali wyborczych w Warszawie.

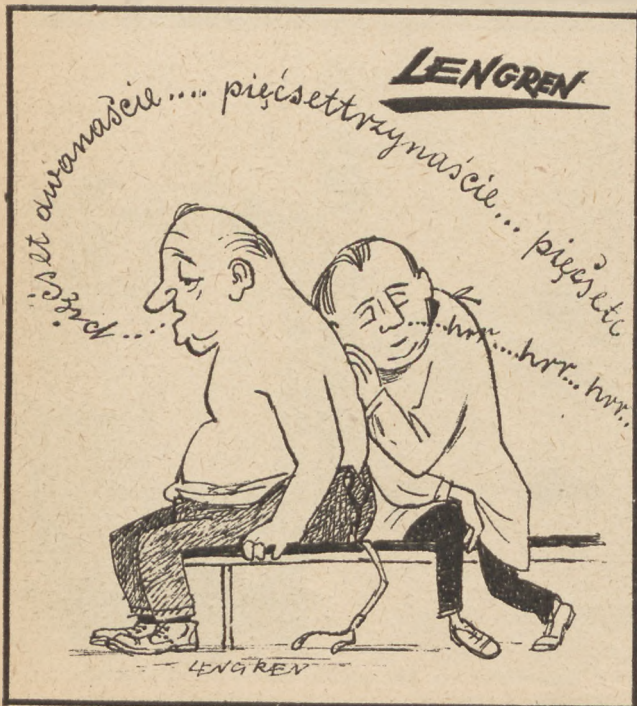


BLONDYN: Widzę. Więc cóż z tego?

BRUNET: Ty oczywiście już tak jesteś zatruty tą ich propagandą, że nie jesteś w stanie widzieć rzeczy najbardziej oczywistych. Ale może jednak to ja-

Dalszy ciąg opowiadania E. Osmańczyka
p. t.

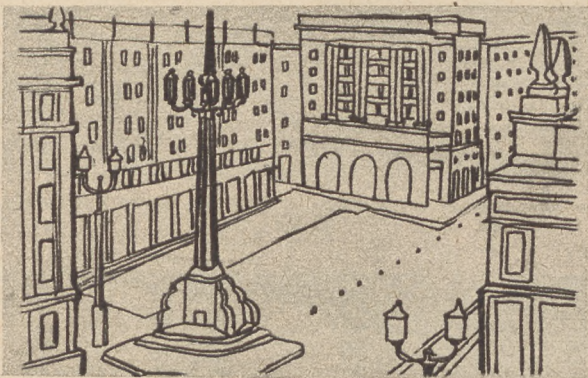
„Nowa Księga Dżungli“
w numerze następnym



skrawe oszustwo zrozumiesz. No proszę, pozwól. Wyobraź sobie, że mieszkasz na przykład na ulicy Tamka 30. Gdzie masz głosować? Kopernika 27. A cóż to jest Kopernika 27? Nowozbudowana szkoła. A co ci przypomina szkoła? Że w Polsce dzisiaj wszystkie dzieci się uczą, że zlikwidowano analfabetyzm, że ilość wyższych uczelni... że ilość studentów, że ilość stypendiów... Prawda? I kto się teraz uczy i kto mógł się uczyć dawniej. I prawda, że ten wasz Front Narodowy zapowiedział w odezwie realizację powszechnego nauczania w stopniu szkoły średniej. Prawda? Albo inaczej: mieszkasz Tamka 5 i głosujesz Karowa 2/4. To hotel robotniczy. Jeszcze nienajbardziej luksusowy, ale cóż widzisz z okien, na co patrzysz w czasie głosowania. Tu elektrownia idzie pełną parą, tam odbudowana klinika położnicza, więc sprawa przyrostu ludności. Na lewo Mariensztat, Trasa W-Z, a na prawo Most Poniatowskiego, prawda. Aha, to bardzo chytre. Ze niby oni przed wojną odbudowywali osiem lat, a my w rok. Osiół tego nie zrozumie. Osiół, uważasz.

BLONDYN: A ja ciągle nie rozumiem.

BRUNET: Jesteś zupełnie zaczadzony tą ich propagandą. Masz drugi przykład. O, na przykład mieszkasz Marszałkowska 60. Więc głosujesz Piękna 28. Uważasz, nie tylko idziesz przez MDM, ale przez cały czas głosowania masz MDM przed oczami, podziwiasz ją i oczywiście głosujesz za Frontem.



BLONDYN: No to co z tego?

BRUNET: Ha, ha, co z tego. A ordynacja wyborcza? Własnych praw nie szanujecie. Wszystko bujda i lipa. Proszę, ordynacja wyborcza. Czeka, czeka, zaraz znajdzie... Aha, jest... Czy wiesz, co mówi punkt trzeci artykułu 52 waszej, tej nowej, nie tej starej sanacyjnej, ordynacji wyborczej?

BLONDYN: Wiesz, że nie pamiętam.

BRUNET: To ja ci przypomnę. On brzmi tak: „Agitacja w lokalu wyborczym w czasie głosowania jest wzbroniona“.

BLONDYN: O to ci chodzi! Ze wszystko agituje za Frontem?

BRUNET: Co stanowi pogwałcenie punktu 3 artykułu 52.

BLONDYN: No, ale gdzie by w Polsce porozmieszczać te lokale wyborcze, żeby one same i to co za oknami nie agitowało za Frontem Narodowym?

BRUNET (po długiej, bardzo długiej chwili milczenia): A bo ja wiem...

KURTYNA

BENEDYKT HERTZ

TEŚKNOTA KSIĘCIA PSZCZYŃSKIEGO

Pszczyno, fortune moja!
Kto dzisiaj opowie,
jak tam, na księstwie swoim
żyli von Plessowie!...

Kopalnie i fabryki,
góry i doliny
swym panom feudalnym
znosiły daniny.

Książę jadł, pił, polował
z cesarzem za pan brat...

W pas kłaniał mu się kmiotek,
i sędzia, i landrat...

A dziś... w amerykańskim
sektorze Berlina
człek dawne, dobre czasy
ze łzami wspomina
i tęskni.

Już daruję
Wilhelma, Bismarka...

Dla Sławoja bym dzisiaj
przemalował parkan.

O, niechajby odżyli
Becki i Sławoje!

Fuerst von Pless wnet by wrócił
znów na zamki swoje.

Droży Czytelnicy!

Sezon wczasów letnich dobiega już końca. Przez kilka miesięcy wracali z urlopów opaleni i wypoczęci wczasowicze, którzy na pytanie, jak spędzili wczasy, odpowiadali, że świetnie, że wszystko było doskonale zorganizowane, że troska o człowieka pracy ze strony FWP była naprawdę wielka. Ale, jak się dowiadujemy dzisiaj, nie obeszło się bez poważnych niedociągnięć. Przykładem niechaj będą urlopowe dzieje jednego z wczasowiczów, opisane przez niego samego w liście do naszej redakcji, który w całości przytaczamy:

OB. REDAKTORZE!

Oczywiście i pan, i ja doceniamy wielką zdobycz naszego ustroju, jaką jest Fundusz Wczasów Pracowniczych. To, że miliony ludzi pracy rocznie mogą spędzać urlopy w miejscowościach kuracyjnych, w doskonałych warunkach, zapewniających odpoczynek po roku wyteżonej pracy dla Polski Ludowej — jest, jak już powiedziałem, wielką zdobyczą obywateli Państwa Ludowego. Dlatego też — uważam — z całą bezwzględnością należy walczyć z wszelkim niedbalstwem administracyjnym, doprowadzającym do obniżenia wartości tego osiągnięcia.

Ze takie niedbalstwo istnieje — dowodem poniższy fakt:

Dnia 1 sierpnia br. otrzymałem skierowanie (numer skierowania znany redakcji) na wczasy pracownicze w Rucianem (Pojezierze Mazurskie) w okresie od 3 do 17 sierpnia. Bardzo się z tego powodu ucieszyłem, bo Rucianem jest piękna miejscowość, położoną nad malowniczym jeziorem, a ja jestem namiętnym amatorem wędkarstwa i sportów wodnych. Po przyjeździe do Rucianego, niestety okazało się... że nie ma wolnych miejsc... bo Centralny Zarząd Funduszu Wczasów Pracowniczych na turnus wczasowy od 3 do 17 sierpnia skierował do Rucianego o 38 (trzydzieści osiem) osób za dużo! Dla człowieka, który pół Polski przejeżdża (w moim wypadku na stojąco), niespodzianka taka jest bardzo przykra. Nie umyć, nie ogolić i bardzo zmęczeniu — cały dzień powtarzaliśmy kierownicze Domu Wczasowego (coż ona zresztą winna), że nie wrócimy do miejsc swojego zamieszkania i że „musi“ znaleźć dla nas pomieszczenia.

Kierowniczka proponowała nam wynajęcie pokoi w miejscowej ludności. Z tej „rady“ nie wszyscy mogli skorzystać, ponieważ cena takiego pokoju za dobę wynosiła 12 zł od osoby. Ci więc, których nie stać było na to, zostali „ulokowani“ przez kierowniczkę na strychu, na werandzie (normalnie przeznaczonej na salę ping-pongową) względnie po 3 małżeństwa (6 osób) w pokoju dwuosobowym! Oczywiście odpoczynek w takich warunkach przestaje być pełnowartościowy.

Powołując się na wypowiedź kierowniczki Domu Wczasowego w Rucianem — trzeba stwierdzić, że wypadek ten nie jest wyjątkowy; brak odpowiedzialności w ustalaniu rozdzielnika jest zjawiskiem zbyt często się powtarzającym — żeby to można było tolerować. Dlatego też proszę Was, Obywatelu Redaktorze, o poruszenie tej sprawy na łamach „Świata“. W każdej chwili gotów jestem służyć nazwiskami osób „nadprogramowo“ przydzielonych.

OLGIERD STANISŁAWSKI

I cóż na to Centrala FWP? Bardzo byśmy chcieli dowiedzieć się, kto naprawdę zawinił: czy Związek Zawodowy, który nie informując się w terenie, jakie są możliwości domu wczasowego w Rucianem, przydzielił zbyt wielką liczbę miejsc, czy też może kierowniczka domu wczasowego nie zasygnalizowała na czas o przepełnieniu? Sprawa ta warta jest w każdym razie wyświeślenia, bo o podobnych wypadkach lekkomyślnego kierowania ludźmi do przepełnionych domów wczasowych słyszeliśmy już także i od innych osób. Musimy przecież — jak to słusznie napisał p. Stanisławski — walczyć z wszelkim niedbalstwem administracyjnym, utrudniającym korzystanie z wczasów, tej wielkiej zdobyczy mas pracujących.

ŚWIAT

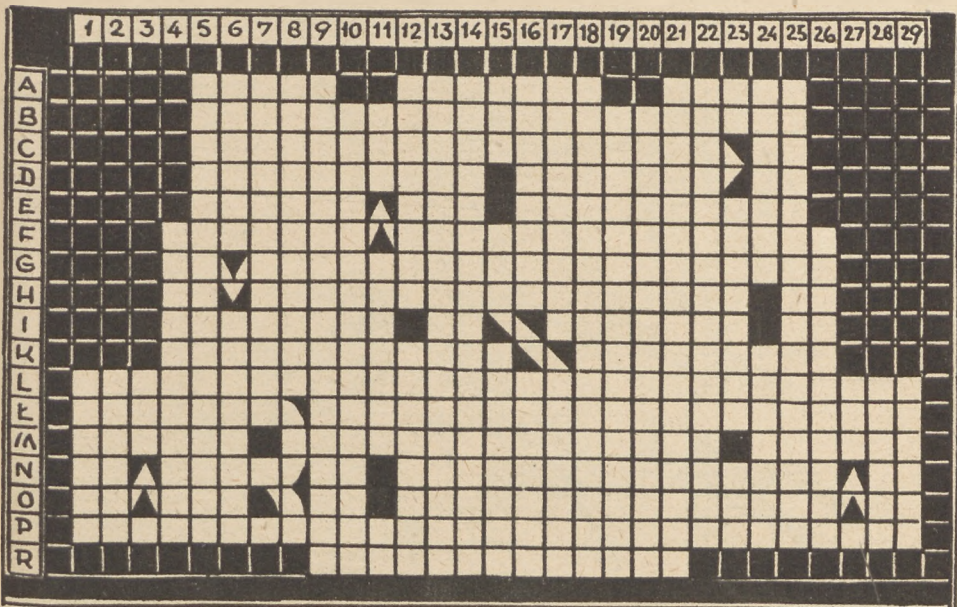
SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony:
Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88.
Administracja: Warszawa, Wilejska 12, tel. 7-52-50.
Prenumerata miesięczna zł 4.—, — kwartalna
zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna 48.—.
Zakłady Wkłóśłodrukowe i Introligatorskie
RSW „Prasa“ — Warszawa, Okopowa 53/72
Zam. 546. Pap. rotogr. V/80-82 cm 3-B-18798

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA



Po rozwiązaniu i wpisaniu w krzyżówkę wszystkich wyrazów o podanych znaczeniach odczytać z pól niezapisanych rozwiązanie dodatkowe.

Poziomo: A-5) Egoista, A-12) Okrągły budynek, A-21) Figura z kamienia lub metalu przedstawiająca człowieka, statua, B-9) Imię i nazwisko autora książki „Ryby śpiewają w Ukajali”, C-5) Inicjały największego poety rosyjskiego, C-8) Inicjały poety polskiego (1884–1918), C-17) Postać biblijna, C-24) Miara powieści, D-5) Symbol chemiczny niklu, D-8) Rzeka wypływająca z Uralsu, D-17) Wschodnie imię męskie, D-24) Zamek osobowy, E-5) „Sie” w gwarze, E-8) Pytajnik, E-17) Słowo potwierdzające, F-4) Uroczystość, zabawa ogrodowa, F-21) Starożytna nazwa półwyspu Pirenejskiego, G-8) Tytuł powieści W. Szauglewskiej, I-17) W mitologii greckiej: przedsionek piekieł, I-21) Termin bokserki (w skrócie), K-14) „I” w jęz. martwym, K-18) Spójnik, K-21) Symbol chemiczny glinu, L-1) Ptak morski o potężnych akryd-

lach, L-18) Nuta (wspak), L-21) Okazały grobowiec, L-9) Tytuł powieści S. Otfinowskiego, M-19) Rzeka w Syberii zach., N-15) Jeden z kantonów Szwajcarii, N-20) Zamek dzierżawczy, O-15) Wódz armii południowców w amerykańskiej wojnie secesyjnej 1862 r., O-19) Miara długości, P-1) Liczbowanie, P-21) Objasnienie, R-9) Tytuł utworu S. Goszczyńskiego.

Pionowo: 1-L) Rosyjska miara długości, 3-L) Bohater polsko-węgierski, 4-F) Treść, osnowa utworu literackiego, 5-A) Możliwości, widoki powodzenia, 5-L) Część parowozu, 6-C) Zwierzę domowe, 6-I) Parów, wawóz, 8-C) Historyk grecki, który napisał dzieje wojny peloponeńskiej, 9-A) Głębokie wąwozy wyłobione przez rzeki Ameryki Północnej, 9-L) Wyrzut skórnym, wrzód, 10-G) Miasto powiatowe między Krotoszynem i Trzebnicą, 11-B) Upięty zwój włosów, 12-A) Bóg słońca u starożytnych Egipcjan, 12-L) Wybitna jednostka, 13-A) Dymisja, zwolnienie, 13-L) Kwiat ogrodowy, 14-A) Za-

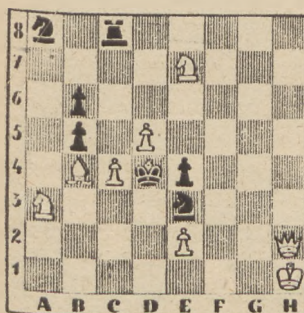
imek osobowy, 14-G) Członkowie rodziny, 15-A) Wykrzyknik, 15-N) Domek pszczoł, 16-A) Litera grecka, 16-N) Nuta, 17-A) Donosiciel, denuncjator, 17-L) Znasz, wiesz, 18-A) Imię żeńskie, 18-G) Materiał używany jako paliwo do lamp górniczych, 19-B) Słabo orientujący się w czynach, 19-I) Wydatek, rozchód, 20-L) Dopływ Wołgi, 21-A) Miejsce gdzie nic nie ma, 21-I) Część ubioru męskiego, 22-F) Przyrząd do wyznaczania kierunków świata, 23-O) Jednostka oporu elektrycznego, 24-C) Symbol chemiczny molibdenu, 25-A) Naczynia kuchenne, 25-L) Postać tytułowa z opery Czajkowskiego, 26-F) Imię męskie, 27-L) Miasto powiatowe w woj. białostockim, 29-L) Siłacz, atleta.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych.

SZACHY

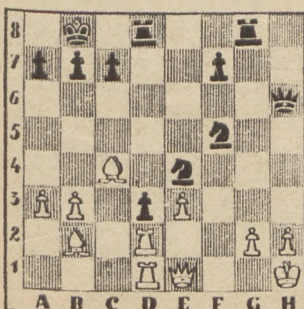
ZADANIE A 59



A. Galicki

Mat w 2 posunięciach.

ZADANIE B 60



Pozycja na diagramie pochodzi z partii Kamyszow —

Estrin, granej w turnieju Czi-gorinśkim w Związku Radzieckim. Białe wzięły piona posunięciem 29. W:d3, po czym czarne zamatowały przeciwnika w 5 posunięciach. Jak?

PARTIA NR. 36.

grana w ramach meczu ZSRR — Szwecja w finale X Olimpiady Szachowej w Helsinkach.

Obrona sycylijska

białe: Stolz (Szwecja)
czarne: Bronsztejn (ZSRR)
1. e2—e4 c7—c5 2. Sg1—f3 Sb8—c6 3. c2—c3.

Zazwyczaj grywa się tu od razu d4.

3... e7—e6 4. d2—d4 d7—d5 5. e4—e5 Hd8—b6 6. d4:e5 Gf8:c7 7. Hd1—c2 Hb6—c7.

Czarne wykorzystują korzystną sytuację w debiucie i zaczynają atakować słabego piona e5.

8. Hc2—e2 Sg8—e7 9. Gc1—e3 Gc5:e3 10. He2:e3 Se7—f5 11. He3—e2 0—0 12. Sb1—a3 f7—f6! 13. Sa3—b5 Hc7—a5 14. e5:f6 Wf8:f6 15. He2—d2

a7—a6 16. Sb5—d4 Sf5:d1 17. c3:d4 Ha5:d2+ 18. Ke1:d2.

Białym udało się uprościć pozycję, ale czarne zachowują swą przewagę: posiadają w swym ręku inicjatywę, podczas gdy u białych powstał słaby pion d4.

18... Gc8—d7 19. Gf1—d3 Gd7—e8! 20. Kd2—e3 Ge8—h5 21. Sf3—e5 Sc6:e5 22. d4:e5 d5—d4+!

Decydujące posunięcie! Białe muszą bić piona, otwierając czarnym wszystkie możliwości ataku.

23. Ke3:d4 Wf6:f2 24. Gd3—e4 Wa8—d8+ 25. Kd4—c5.

Słabe byłoby także Ke3 ze względu na 25... We2+ 26. Kf4 Wd4 i czarne wygrywają gońca.

25... Wf2:b2 26. Wh1—b1 Wd8—c8+ 27. Kc5—d6.

W wypadku 27. Kd4 nastąpiłoby 27... Wd2+ 28. Ke3 We2+ i białe tracą figurę.

27... Wb2—d2+. Białe poddały się, gdyż nie mogą uniknąć maty w kilku posunięciach.



TANIO i ŁADNIE

Meteorolodzy twierdzą, że październik będzie jeszcze słoneczny i ciepły... Może... Na razie jednak jest chłodno i brzydko. Dlatego też dzisiejszy odcinek naszego działu jest pod znakiem płaszczy jesiennych.

U góry samodziślowy płaszcz w kolorze brązowo-beżowym, wykończony zamkiem (kołnierz, guziki, pasek). Poniżej płaszcz dla dziewczynki (z wełny albo flanszu), z dużymi kieszeniami i patką z tyłu.

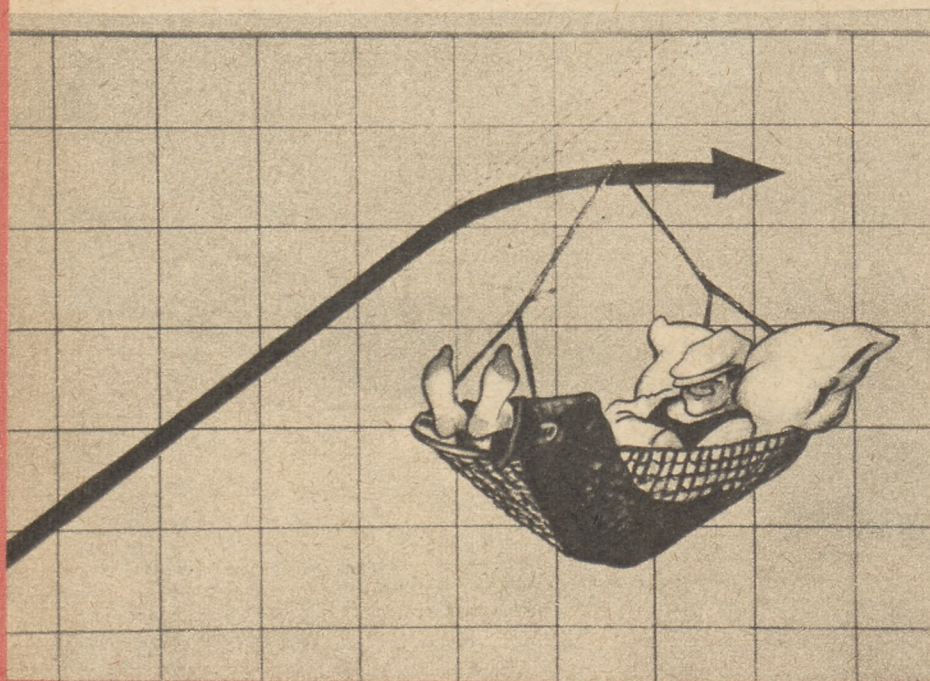
Obok reglanowy płaszcz damski z zapięciem krytym, stojącym kołnierzem okrągłym i mankietami. Jedyny błąd modelu — to absolutnie niepotrzebne guziki przy mankietach.

W następnym odcinku pokażemy nowe modele swetrów.



RUMUŃSKA KARYKATURA POLITYCZNA

Niepoślednie miejsce wśród prac zgromadzonych na Wystawie Sztuki Rumuńskiej w Warszawie, zajmuje karykatura polityczna — bojowa, celnie uderzająca w imperializm amerykański i jego popleczników, demaskująca również wroga wewnętrznego. Najaktywniejsi karykaturzyści rumuńscy: Taru, Cik, Lucaci, Cobar i Rik stali się już znani na całym świecie. W Polsce rumuńska karykatura polityczna zyskała sobie wielką popularność, o czym świadczy chociażby duża liczba zwiedzających ten właśnie dział wystawy.



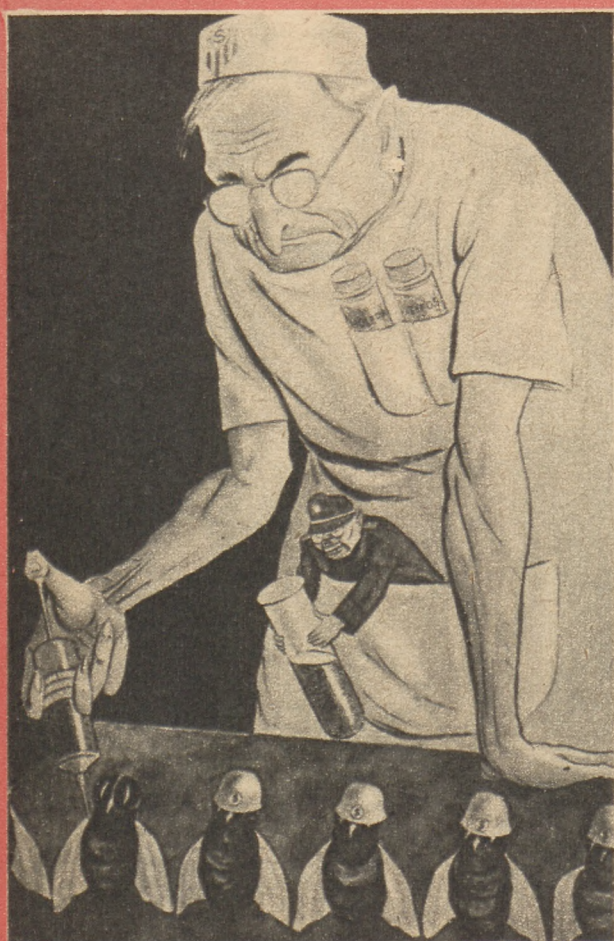
Helmudt Leru

Spoczynek „na laurach”.



Damian Cik

Pokój jest w rękach ludu.



Adrian Lucaci

Zdolni do służby wojskowej.



Helmudt Leru

„Gdzie wiele towaru, tam wiele strat”.



Adrian Lucaci

Rękawiczki do brudnych spraw.